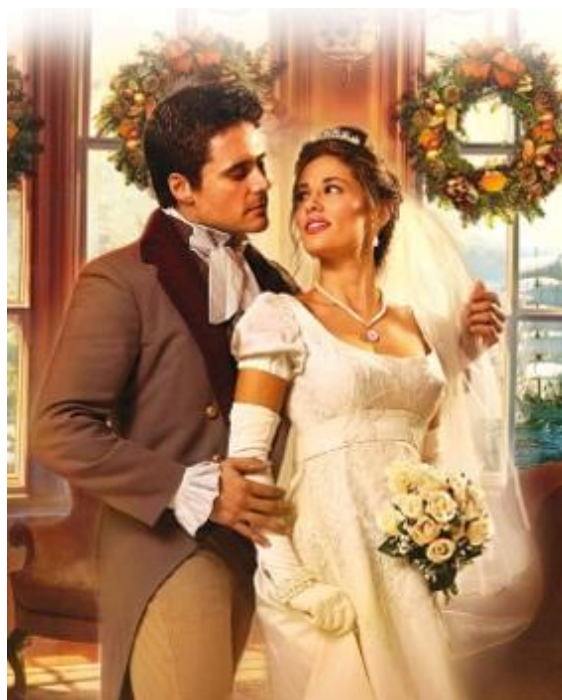




Margaret McPhee



Opowieść przemysłową

Special - „Weselne dzwony”

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Devon, grudzień 1803 r.

Francesca przemykała się chyłkiem w ciemnościach. Noc była mroźna, od czasu do czasu zza chmur błyskał rogalik księżyc w nowiu. Księżyc przemytników, tak go nazywano. Francescę przeszedł dreszcz. Z każdą minutą narastały podejrzenia dotyczące brata. Poszła za nim aż do portu i ukryła się za stertą koszy na homary. Tom siedł na statek zacumowany przy nabrzeżu. Nie musiała nawet odczytywać nazwy na dziobie, by wiedzieć, co sprowadza Toma na „Swifta”. Bez trudu rozpoznała lugier Buckleya. Chciała zatrzymać brata. Nie miała najmniejszych wątpliwości co do jego intencji. Już miała wyjść z ukrycia, kiedy jakaś dłoń zasłoniła jej usta i ktoś pociągnął ją głębiej w cień.

- Cicho, nic ci nie zrobię - szepnął mężczyzna, zbliżając usta do jej ucha. Pachniał mydłem, ładny, świeży zapach.

Serce waliło jej jak oszalałe, przerażenie mroziło krew w żyłach. Mężczyzna cofał się powoli, ciągnąc ją z sobą. Francesca naparła na niego plecami, myślała, że napastnik straci w ten sposób równowagę. Próbowwała uwolnić się z jego uścisku, ale ten człowiek był zbyt wielki, zbyt silny i jej opór nie robił na nim żadnego wrażenia. Ciągnął ją dalej ku bramie portowej. Chciała krzyknąć, ale ponownie zamknął jej dłońią usta.

- Cicho bądź, dziewczyno, jeśli ci życie miłe.

Za chwilę miną bramę i znajdą się na pustej drodze. Zaczęła się szarpać ze zdwojoną energią, w końcu ugryzła go w kneblującą usta rękę i poczuła metaliczny smak krwi na języku.

- A, ząbki - warknął wściekle i na moment cofnął dłoń.

Na to tylko czekała. Tom ją usłyszy i pośpieszy na ratunek. Co dalej, o tym już nie myślała. Nabrała powietrza w płuca i krzyknęła, jak mogła najgłośniejsze.

- To... - ponowiła próbę, ale ręka znów zakneblowała jej usta, zanim Francesca zdołała dokończyć to jedno krótkie słowo.

Dławiąca cisza. Nic tylko wiatr, szum morza i plusk fal przy nabrzeżu. Nikt jej nie usłyszał. Obcy zaciągnie ją nie wiedzieć dokąd, nikt nie będzie wiedział, jak i kiedy przepadła. Nie wierzyła, że coś takiego mogło się jej przydarzyć. Że ktoś mógł ją napaść, podejść do niej zniemacka.

Usłyszała gwar głosów, wśród nich głos Toma. Uratują ją. Zdjęła ją ulga, złożyła dzięki Bogu.

- Tutaj, tędy - mówił ktoś.

- Nic nie widzę - odezwał się Tom.

- To patrz lepiej - warknął ktoś.

Zza koszy na homary wyłoniła się jakaś sylwetka, w świetle księżyca błysnęło srebrem.

- Co my tu mamy? - Cichy, spokojny głos, a przecież groźny, złowieszczy. Należał do wysokiego, szczupłego mężczyzny o siwych włosach. W dłoni dzierzył czarną laseczkę zakończoną srebrną gałką.

Jej napastnik znieruchomiał, zeszywniał, po czym podprowadził ją do siwego mężczyzny stojącego spokojnie obok sterty koszy.

- Zobacz, co znalazłem. - Tym razem napastnik przemówił pełnym głosem. Mówił z ładnym, wytwornym akcentem człowieka wykształconego.

Czyli dżentelmen.

Przyglądało się jej teraz czterech mężczyzn, Tom pośród nich. Był blady jak płótno i wyglądał młodziej niż na swoje osiemnaście lat. Posłała mu błagalne spojrzenie. Widziała, jak bardzo jest wstrząśnięty.

- Pozbądź się jej. Nie mamy czasu na głupstwa. Musimy wykorzystać przyływ i zniknąć stąd. - I ten głos brzmiał wytwornie.

Jeszcze jeden dżentelmen. W co też Tom się wdał?

- Nie! - zawołał, protestując może zbyt gwałtownie. Francesca i mężczyzna z laseczką spojrzeli na niego. Był zdenerwowany, ledwie nad sobą panował. - To tylko dziewczyna, nic nikomu nie powie.

- Jak jej podetniemy gardło, nie powie na pewno - odezwał się niewielki człowieczek o przenikliwym spojrzeniu.

- White ma rację, Łasica także - odezwał się ktoś z tyłu. - Nie możemy ryzykować. To świąteczny przerzut. Zbyt wiele mamy do stracenia.

- Tak, zbyt wiele mamy do stracenia - zgodził się ten z laseczką.

Tom postąpił krok ku niej i Francescę ogarnęło jeszcze większe przerażenie. Nie chodziło już tylko o jej życie, ale i życie jej brata.

- Nie możecie tego zrobić. Ona jest...

Mężczyzna, który trzymał Francescę, nie pozwolił mu dokończyć.

- Tylko tego nam trzeba, żeby konstabl zaczął tu węszyć.

- W takim razie co mamy robić? - zapytał mały człowieczek, którego nazywano Łasicą.

- Puśćcie ją - zażądał Tom.

- Żeby rozpowiedziała wszystkim, co widziała? O nie - sprzeciwił się właściciel laseczki. - Coś mi się wydaje, Linden, że to przygoda nie dla ciebie. Potrzebujemy mężczyzn, a nie siuśmajtków.

- Rozwiązanie jest proste - odezwał się ten, który trzymał Francescę. - Zabierzemy ją z sobą w morze.

- Kobieta na pokładzie przynosi pecha - mruknął ktoś.

- A oficer straży przybrzeżnej, który tylko na nas czeka, niby nie? - zakpił ten, co trzymał Francescę.

Łasica głośno pociągnął nosem.

- Co pan proponuje, White? - zwrócił się do mężczyzny z laseczką.

- Tak jak powiedział Black, zabierzemy ją z sobą. Ruszajcie się, panowie, póki mamy wysoką wodę. - Wskazał na Francescę i mężczyznę, który ją trzymał. - Idź pierwszy, Black.

- Dziękuję, panie White. - Wszystko to sprawiało wrażenie, jakby grali w jakąś niemądrą grę?

Francesca nie opierała się już, wiedziała, że to na nic. Wołała zachować energię na potem. Jakieś straszne przeczucie mówiło jej, że na pokładzie „Swifta” bardzo tej energii będzie potrzebowała.

Ledwie weszli na pokład, „Swift” odcumował i wypłynął z maleńkiego portu Lannacombe. Przyływ trwał jeszcze, wiatr też im sprzyjał. Francescę sprowadzono na dół, do pomieszczenia z dużym stołem, przy którym stały skrzynki służące za stołki. Usadzono ją na jednym z nich.

Pan White stanął naprzeciwko niej i bacznie się jej przyglądał. Nie był wcale stary, miał pociągłą, chudą twarz bez śladu zmarszczek, jasne, czujne oczy, a włosy nie siwe, lecz blond. W pomieszczeniu kręciło się dwóch czy trzech ludzi z załogi.

- Skrepuj ją, zaknebluj i przywiąż gdzieś. Zajmiemy się nią, kiedy już będziemy na pełnym morzu. - Gdy to mówił, gorączkowo myślała, jak wyplatać się z tej kabały. Cóż, mogła sobie myśleć. Zarazem usłyszała, jak ten, który stał za nią, poruszył się. White zwrócił się do niego: - Nie będziesz się chyba wzdragał, że masz do czynienia z niewiastą, Black?

- Różne rzeczy czuję, gdy mam do czynienia z kobietą, ale żebym się kiedy wzdragał, to nie - odparł ze śmiechem. - Obiecałeś mi ciekawą noc.

- W rzeczy samej - rehotliwie przytaknął właściciel laseczki.

- I znaczne korzyści z tego, w co zainwestowałem.

- Bardzo znaczne, panie Black, obiecuję.

- Trzymam za słowo. - Stanął przed Francescą ze sznurem w dłoni.

Dopiero teraz mogła mu się przyjrzeć. Miał jakieś dwadzieścia pięć lat, włosy ciemne, proste, krótko przystrzyżone, twarz gładko wygoloną. Regularne, wyraziste

rysy, mocno zarysowany podbródek, wysokie kości policzkowe, oczy tak ciemne, że prawie czarne. Bez wątpienia człowiek z towarzystwa, bogaty, mimo nędznego przyodziewku. Przystojny urodą światowca. A przy tym łotrzyk, członek tej dziwnej bandy, z którą zadał się jej brat. Przeszedł ją dreszcz.

- Chodź ze mną, mały szpiegu. - Ujął Francescę pod łokieć i zaprowadził do przestronnej kabiny. Nie zamknął jednak drzwi, dając przepust światłu z pomieszczenia, gdzie został White.

Skrepował jej nadgarstki i nogi w kostkach, po czym wyjął z kieszeni białą chusteczkę.

- Nie musisz mnie kneblować! - zaprotestowała. - Nie będę krzyczeć, przecież i tak nikt mnie nie usłyszy poza załogą. To absurd.

- Trzeba było pomyśleć w porcie, co robisz.

- Nie będę mogła oddychać.

- Zapewniam cię, że będziesz.

- Proszę. - Wystarczyło już, że obwiązał ją jak kurczaka przed włożeniem do brytfanny. Na myśl o kneblu zdjęła ją panika.

Spojrzał na nią tymi swoimi smolistymi oczami i już myślała, że ulegnie prośbie, ale nie.

- Masz bardzo ostre zębki, moja panno. Nie chcę, żebyś znowu mnie pogryzła.

Głos brzmiał arogancko, pozbawiony wszelkiej delikatności klócił się z ciepłym wyrazem oczu i delikatnością dłoni. Black zdjął jej budkę z głowy, położył na podłodze i założył knebel, po czym wrócił do pomieszczenia z wielkim stołem.

Francesca została sama w ciemnej kajucie. Rano matka zobaczy, że zniknął nie tylko Tom, ale i najstarsza córka. Zamiast uchronić brata od nieszczęsnej przygody, pograżyła ich oboje.

Pan Black, a właściwie lord Jack Holberton, upił łyk brandy z piersiówki. Panna, której zachciało się przyjść na przeszpiegi do portu, omal nie zrujnowała mu

akcji. Niewiele brakowało, by dziesięć miesięcy przygotowań zostało zniweczone, nie mówiąc już o życiu dziewczyny. Zafrasowany przegarnął włosy palcami.

Lord Edmund Grosely, czyli White, odczekał, aż ludzie z załogi znikną.

- Zadowolony, panie Black?

- Ma się rozumieć - odparł Jack ze zwykłą sobie arogancją i przysiadł na beczułce. - Czy ja kiedy narzekam?

Edmund zaśmiał się.

- To właśnie w tobie lubię. To i twoje pieniądze. - Jack przysiadł na beczułce.

- Co myślisz o strojach?

Jack kpiąco popatrzył na swój przyodziewek rybaka.

- Po ubraniach krawców z Savile Row to pewna odmiana.

- Jeśli dopadnie nas straż przybrzeżna, musimy trzymać gęby na kłódkę.

Łasica będzie wiedział, co ma robić. - Gdy Jack uniósł brwi, dodał: - Odezwiemy się słowem i po zabawie. Żaden rybak nie mówi tak jak my.

- Prawda. - Jack pociągnął kolejny łyk ze srebrnej piersiówki. - Ale ludzie szukający przygód, i owszem.

- Takich w nas też rozpoznają. Zwykle nie wyprawiam się sam w rejsy, ufam Buckleyowi, ale nasz kochany kapitan gdzieś akurat przepadł, Bóg wie gdzie. Łasica potrafi poprowadzić statek, ale co do reszty byłbym wobec niego ostrożny.

- Stąd ta cała dzisiejsza zabawa.

- Nie nazwałbym tego zabawą.

- Jak zatem?

- Powiedzmy, że to konieczność. Nie chcę narażać swojej anonimowości, ale jeszcze bardziej nie lubię ryzykować swoich pieniędzy.

- Życie bez ryzyka jest nudne - rzucił od niechcienia Jack.

- Jeszcze nudniejsze staje się bez pieniędzy.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Harrow chyba nieźle cię posaży, lepiej niż mój ojciec mnie.

- Mój ojciec to stary skąpiec. Całe pieniądze trzyma dla Davida. On wszystko odziedziczy jako starszy syn, ja nic nie dostanę. To bardzo niesprawiedliwa zasada.

Po tych słowach na ustach Jacka pojawił się cyniczny uśmiezek.

- Można tak powiedzieć.

- A przyjemności kosztują.

- Szczególnie na Mayfair.

- Niech to... A więc już słyszałeś? - zdziwił się Edmund.

- Cały Londyn słyszał. - Roześmiał się. - Trzy tysiące i dom na Mayfair dla śpiewaczki z opery. Dość słono cię kosztowała ta kieszonkowa Wenus. Musi być niezła.

- Jest bardzo dobra.

- Harrow zadawał jakieś pytania?

- Staruszek myśli, że mam szczęście w grze.

- Nie myli się. Widziałem, jak w zeszłym tygodniu ogołociłeś małego Jenkinsa.

- Jenkins to głupek. Tutaj można zrobić znacznie większe pieniądze niż w kasynie.

- Ale też ryzyko jest znacznie większe.

- Nie zamkną mnie, staruszek już o to zadba. Nie spodoba mu się, co robię, ale nie zniósłby plamy na honorze rodu. Pociągnie wszystkie możliwe sznurki, a ja najwyżej dostanę po łapach i na tym koniec.

- A co z tutejszymi ludźmi?

- Buckleyowie potrafią dbać o swoje sprawy. Nie pozwolą, żeby coś się nam przytrafiło. Nie masz się czego obawiać, nie złapią nas. Jesteś najgorszym synem, jakiego można sobie wyobrazić, ale Flete w razie czego uciszy sprawę, jak mój ojciec. Przejmiemy koniak i pozbędziemy się go zaraz po powrocie, a potem czekają nas rozkoszne święta Bożego Narodzenia. Zabieram Jeanette do Yorkshire. Możesz jechać z nami, zapraszam. Przywieź z sobą jakąś sikoreczkę.

- Zakrapiane święta, z kobietkami?
- Chyba, że wolisz je spędzić z Flete'em i resztą rodziny.
- O nie. - Jack ziewnął. - Naprawdę uważasz, że jestem najgorszym synem, jakiego można sobie wyobrazić?

- Obawiam się, że tak. Przy tobie wyglądam na anioła, a to chyba o czymś mówi.

Jack pociągnął kolejny łyk brandy ze swojej flaszeczki.

- Za synów marnotrawnych i pamiętne Boże Narodzenie.

- Wypiję za nas. - Edmund uniósł do ust piersiówkę.

Dwaj poszukiwacze przygód zaśmiali się głośno.

Francesca walczyła z krępującymi nadgarstki więzami. Black, jak go nazywali, nie zacisnął ich zbyt mocno, więc przy pewnym wysiłku powinna w końcu uwolnić dłonie. Próbowwała się rozejrzeć, ale mrok był tak gęsty, że nic nie widziała poza smużką światła pod drzwiami. Słyszała szmer głosów, czasami śmiech. Próbowwała nasłuchiwać, ale nie była w stanie wyłowić jednego słowa, bo nad cichą rozmowę wznosił się plusk fal uderzających o burty statku i zawodzenie wiatru. Czowała zapach ryb, wilgoci, smoły. Zanim Black zamknął drzwi, dojrzała w kącie kabiny sieci. To zapewne stąd ten rybi zaduch w kabinie.

Prawie wyswobodziła ręce, gdy klamka się poruszyła. Francesca zamarła. Do kabiny ktoś się wśliznął z przysłoniętą latarnią w jednej ręce i nożem w drugiej.

- Tom! - Z zakneblowanych ust wydobył się tylko niewyraźny bełkot.

- Cii! - Brat podszedł do niej szybkim krokiem, przyklęknął, odłożył nóż i zdjął jej knebel.

- Rozwiąż mnie.

- Nie. Musimy poczekać, aż wrócimy do Lannacombe. Gdybym cię rozwiązał, wiedzieliby, że to ja zrobiłem, i wpadlibyśmy w jeszcze większe kłopoty, niż już mamy.

- Och, Tom, czemu zadałeś się z Buckleyami? I kim są ci dwaj dżentelmeni?

Odpowiedział tylko na pierwsze pytanie:

- Zbliżają się święta, potrzebujemy pieniędzy, Fran.

- Na Boga, Tom, przecież to niegodziwcy. Zbyt wiele ryzykujesz. Myślisz, że pomożesz mamie, jeśli skończysz z nożem w plecach?

- Wszystko byłoby w porządku, gdybyś nie poszła za mną do portu. Niech to, Francesco, nawet nie wiesz, co zrobiłaś.

- Powiedz im, że jestem twoją siostrą. Cokolwiek myślę o całej tej awanturze, nie doniosę przecież na ciebie. Powinni to zrozumieć.

Tom potarł nerwowo brodę.

- To nie takie proste.

- Co masz na myśli?

- To przede wszystkim, że nie powinnaś była za mną iść. - Westchnął ciężko z zafrasowaną miną.

- Tom - powiedziała miękko - damy sobie radę. Jakoś wykaraskamy się z opresji.

- Obyś miała rację, Fran. - Objął siostrę. - Obyś miała rację.

Nic nie usłyszeli, żadnego najcichszego dźwięku, który by ich ostrzegł, gdy drzwi otworzyły się raptownie.

- Proszę, proszę, jaka miła scena.

Tom chwycił za nóż, odskoczył do tyłu. Gdy Black zbliżył się, Francescę zdjął strach, natomiast wyraźnie spokojniejszy Tom schował nóż do pochwy.

- Kto to jest, Linden? Twoja kochanka? Twoja panna?

- Nie! - zawołało rodzeństwo równocześnie, jak na komendę.

- Nic z tych rzeczy - dodał czerwony jak burak Tom.

- Kto zatem?

- Moja siostra, Francesca Linden - oznajmił ponuro brat.

- Do diabła, co robiła w porcie?

- Nie chciałam, żeby napytał sobie biedy. - Spojrzała Blackowi prosto w oczy.
- Zawsze była nadopiekuńcza - wyjaśnił Tom niechętnie.
- Chce powiedzieć, że zawsze wiem, kiedy mu niecnota w głowie - zgryźliwie uściśliła siostra.

- Klnę się, że o niczym nie wie - bronił jej skóry brat.
- Teraz już wie - stwierdził Black.
- Jest pan w błędzie, jeśli sądzi, że będę rozpowiadać, co widziałam. Nikomu nie powiem ani słowa.

- Uważasz, że twoje zapewnienia mi wystarczą? Że to załatwia sprawę?
Wezbrała w niej złość na ten kpiący ton.

- Gdybym cokolwiek powiedziała, tym samym doniosłabym na swojego brata.
Za nic tak go nie narażę, to chyba rozumiałe.

- Już go naraziłaś, panno Linden - powiedział Black z ledwie ukrywaną irytacją.

- Co zrobimy, sir? - Tom potarł brodę.

- Powiemy panu White'owi o niej?

- Myślisz, że White stanie w jej obronie? - zadrwił gniewnie.

- Miałem nadzieję...

- Fałszywą, całkiem fałszywą. Jeśli pójdziesz do pana White'a ze swoją historią, przedtem oboje pożegnajcie się z życiem. Nie muszę ci chyba mówić, czym to grozi dla naszego przedsięwzięcia.

- To co możemy zrobić? - zapytał Tom z desperacją.

- Grać na zwłokę.

- To znaczy?

- Będę trzymał ludzi z dala od niej. Moja, tylko moja, rozumiesz?

- Co? - ostro zareagował Tom.

- Uspokój się. Może tak to nie wygląda, ale dzięki temu będzie bezpieczna. A ty nie pokazuj przed White'em, że się niepokoisz o jej los. W żadnym razie nie wolno pozwolić, by odkrył prawdę. Pojąłeś?

- Tak jest, sir.

- A teraz uciekaj stąd, zanim na pokładzie zauważą twoją nieobecność.

Tom zawahał się.

- A nasza noc...?

- Wszystko będzie przebiegać zgodnie z planem. No, już cię nie ma.

Tom spojrzał na siostrę.

- Zrobimy, jak on mówi, Fran.

- Znikaj - nakazał Black.

Tom odwrócił się i wyszedł z kabiny, zamykając za sobą cicho drzwi.

Francesca została sama z Blackiem.

- I cóż, panno Linden? Nie masz ani trochę oleju w głowie, co? Po coś szła za nim do portu, sama jedna, w środku nocy? - Jego głos brzmiał zupełnie inaczej, niż kiedy rozmawiał z White'em.

Zrobił wrażenie na Francesce, ale za nic by się do tego nie przyznała.

Spojrzała na niego z lekceważeniem.

- Powstrzymałabym go, gdyby nie pan.

- A więc to moja wina, że znalazłaś się w tak żałosnym położeniu? - spytał z irytacją.

Odwróciła głowę, uciekając od gniewnego spojrzenia.

- Nie, nie pana. Gdyby jednak nie próbował mnie odciągnąć w porcie... Pan chciał mnie uprowadzić.

- Uprowadzić? Tak to rozumiesz? - Zdziwiony uniósł brwi.

Nie raczyła odpowiedzieć na jego pytanie, tylko zmierzyła go nieufnym wzrokiem.

- Dlaczego chce pan nam pomóc? Pan White jest przecież pana przyjacielem, jak się wydaje. Obaj jesteście zaangażowani... zaangażowani w...

- Pewne interesy - podsunął usłużnie, a gdy zbyła tę informację milczeniem, dodał: - Powiedzmy, że nasze przedsięwzięcie, czegokolwiek dotyczy, nie uwzględnia podcinania gardeł nierozważnym pannom i wyrzucania ich za burtę.

Przeszedł ją zimny dreszcz, ale zachowała kamienną twarz.

- Co pan proponuje?

- Zabawię się z tobą na swój sposób, panno Linden - odparł gładko.

- Nie pora na niemądre żarty.

- To nie żart. - Spojrzał jej prosto w twarz.

- Jest pan śmieszny - odparła hardo, choć jeszcze nie otrząsnęła się z szoku.

- Nie zabawisz się w ladacznicę nawet dla ratowania życia?

- Co? - Wreszcie zaczynała rozumieć. - Uratujesz nam życie za... za obłapkę? - spytała ze ściśniętym gardłem.

- Nie.

- Nie? Zatem o co idzie? - podniosła głos z rosnącej trwogi.

- Cii. To ma być tylko taka gra, pozór. Udawanie.

- Ale...

Położył jej palec na ustach.

- To jedyna szansa, panno Linden. Dla ciebie i dla Toma. - Gdy spojrzała mu prosto w oczy, wyjaśnił: - Musimy tylko przekonać White'a, że coś jest między nami, a zostawi cię w spokoju.

- Dlaczego...?

- Nie czas na pytania, panno Linden. Chcesz, żebym cię ratował, czy nie?

Jaki miała wybór? Albo podejmie grę proponowaną przez Blacka, albo wystawi na niebezpieczeństwo swoje i Toma życie. Inne wyjście, to zdać się na łaskę White'a, tyle że Tom nie jemu, a Blackowi ufał i tym właśnie powinna się

kierować. Pomyślała o zimnym spojrzeniu White'a, gdy w oczach Blacka dostrzegła współczucie. Te oczy były szczere.

Skinęła głową.

Rozwiązał ją, zdjął jej z szyi chusteczkę, której użył jako knebla.

Gdy usłyszeli, że ktoś schodzi na dół, Black pomógł się podnieść Francesce.

- Prawdziwy rycerz w lśniącej zbroi - rzuciła z przekąsem.

- Nie powiedziałbym. - Kroki zbliżały się.

Black przyciągnął Francescę i pocałował. Nikt nigdy jeszcze tak jej nie całował. Żadne tam cmoknięcia w policzek, tylko najprawdziwszy, głęboki i zaborczy pocałunek, jakby Black brał ją w posiadanie, zniewalał. Francesca była w szoku.

Położyła mu rękę na piersi, chciała go odepchnąć, uwolnić się z objęć, ale jej nie puszczał. Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach, serce biło jak oszalałe, a Black nie przestawał jej całować. Próbowwała odwrócić głowę, ale nie pozwolił. Jedną dłonią przytrzymał jej kark, drugą położył na biodrze. Francesca aż zatchnęła się na tę śmiałość. W tej chwili stanowili jedność, oddychali tym samym rytmem, połączeni z sobą. Budziło się w niej coś, czego sama jeszcze nie rozumiała.

Drzwi się rozwarły. Francesca uniosła kolano i kopnęła pana Blacka w krocze.

Zaszokowany zatchnął się na moment, zachwiał i wypuścił ją z objęć.

- Oto pierwsza kobieta zupełnie nieczuła na twoje awanse. Tracisz wyczucie, panie Black. - W głosie White'a brzmiało rozbawienie zaprawione ironią.

Black szybko doszedł do siebie. Rzucił Francesce nieprzeniknione spojrzenie i zwrócił się do White'a z cynicznym uśmieszkiem. Nawet Francesca, panna niewinna, widziała pożądanie w jego oczach. Niewątpliwie był człowiekiem nawykłym brać, co chciał i kiedy chciał. To nie był ten sam Black, który kilka minut wcześniej tak rozumnie rozmawiał z nią i jej bratem. Miała przed sobą hultaja światowca, salonowego lamparta. Dreszcz przebiegł jej po plecach, cofnęła się.

- To się jeszcze okaże, panie White - powiedział tym zmanierowanym głosem, który słyszała u niego wcześniej. - Lubię wyzwania. A Francesca to wyzwanie.

- Pojmuję, pojmuję doskonale - stwierdził White z uśmiechem.

- Prawdziwe wyzwanie - podkreślił Black.

- Ile mamy czasu do spotkania?

- Godzinę.

Black zmierzył ją od stóp do głów z lubieżnością w oku.

We Francesce wezbrała złość na tę czelność. Wpatrywał się właśnie w jej piersi z takim nateżeniem, że nie mogła pochwycić jego wzroku.

- Jak pan śmie...

White zachichotał, zniknął na moment i wrócił z szarym, wełnianym kocem.

- Łap. - Rzucił koc Blackowi. - Wygląda na to, że ci się przyda.

- Uprzejmie dziękuję, panie White - odparł dwornie Black.

Francesca znów pomyślała, że tych dwóch gra w jakąś grę.

White odwrócił się do wyjścia, już miał zamknąć za sobą drzwi.

- A, panie Black. Piszę się w kolejce, kiedy już stępisz jej pazurki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy tylko drzwi się zamknęły, uśmiezek zniknął z twarzy Jacka. Zniknął też lubieżnik i salonowy lampart, natomiast w jego miejsce pojawił się człowiek twardy i mocno zdeterminowany.

W oczach zaś panny malowały się niesmak i gniew. Patrzyła na niego bez słowa, czekała. Była blada. I była bardzo młoda. Zbyt młoda, by wikłać się w podobne awantury. Niewinna, to już wiedział. Pomyślał o pocałunku. Jeszcze wrzała w nim krew. Dziewczyna była rozkoszna nawet dla takiego zblazowanego światowca jak Jack. Szybko oddalił tę myśl. Nie wszedł na pokład, żeby uwodzić pannę. Te czasy już minęły.

Długo czekał na dzisiejszą noc, wszystko starannie zaplanował, jednak obecność Franceski Linden stawiała pod znakiem zapytania powodzenie wyprawy. Mimo to za nic by nie oddał dziewczyny w ręce White'a. Nie dopuściłby do tego, nawet gdyby nie była siostrą Toma.

Gdyby White i Buckleyowie dostali ją w swoje łapy, najpierw by ją zgwałcili, a potem wrzucili do morza.

Zaczął rozpinać kaftan.

Francesca wpatrywała się w jego dłonie, ciągle jeszcze pełna oburzenia, ale i czujna. Otworzyła usta, chciała coś powiedzieć.

Położył palec na ustach i pokręcił głową, wskazując przy tym sąsiednie pomieszczenie. Upuścił koc na podłogę, a potem położył obok swój kaftan.

Śledziła bacznie każdy jego ruch i chociaż zachowywała się spokojnie, wyczuwał targające nią emocje. Nie krzyczała, nie płakała, tylko pełna godności w milczeniu stała bez ruchu i obserwowała go.

W końcu odezwała się gniewnie, choć zarazem z tłumionym strachem:

- Co, na Boga...?

Podszedł bliżej. Próbowała się cofnąć, ale za plecami miała ścianę.

Nachylił się, żeby szepnąć jej coś do ucha, i pochwycił dłoń panny, zanim wylądowała na jego policzku.

- Jesteś obrzydliwy, mój panie!

Wzruszył ramionami i puścił jej rękę.

- White poszedł sobie. Chciałem z tobą tylko porozmawiać.

Zmierzyła go nieufnym spojrzeniem.

- Co...?

Ponownie nachylił usta do jej ucha.

- Nie podnoś głosu, panno Linden. Przez drzwi wszystko słyhać.

Nie wydawała się przekonana, ale w końcu skinęła nieznacznie głową.

Stał bardzo blisko, ale nie dotykał jej. Miała wypieki i usta obrzmiałe od pocałunku. Przesunął wzrokiem po brązowej, zapinanej pod szyję sukni i pelerynie w tym samym kolorze, gotowej w każdej chwili zsunąć się z ramion. Ubranie było czyste, ale mocno znoszone, ze śladami licznych reperacji. Suknia o kroju, który dawno wyszedł z mody. Kiedy wiązał jej kostki, dostrzegł grube wełniane pończochy i ciężkie trzewiki o zdartych zelówkach. Tylko kapelusik budka wyglądał porządnie, reszta sprawiała wrażenie darów z parafii. Teraz leżała dumnie na skrzyni. Rudawe blond włosy nosiła gładko zaczesane do tyłu i związane w węzeł. Chodź nędznie odziana, miała w sobie coś ze szlachcianki.

Westchnął cicho. To, co wydarzyło się przed chwilą, było niczym wobec wysiłków, które go czekały, by wywieść w pole White'a. Jeśli tak przyjął pocałunek, reszta spodoba się jej jeszcze mniej. Spodoba się jeszcze mniej? Bardzo łagodnie powiedziane. Większość młodych dam dostałaby waporów na samo wspomnienie planu Jacka, ale Francesca nie wyglądała na młodą damę skłoną do hysterii.

Coś w jej postawie mówiło o ogromnej sile charakteru, jakiej dotąd nie spotkał u żadnej kobiety. Niechętnie myślał o tym, co go czeka, przy tym zbierało mu się na

śmiej. Jego reputacja rozpustnika była legendarna, mimo że skończył zaledwie dwadzieścia sześć lat. Dotąd miał do czynienia wyłącznie z doświadczonymi kobietami, chętnymi do przeżycia przygody. Tym razem rzecz miała się inaczej.

Francesca Linden była inna. Paradna sytuacja, doprawdy.

Przeczesał włosy palcami.

- Mówiłeś pan, że to ma być tylko gra - szepnęła oskarżycielskim tonem.

- Owszem, to gra.

- Nazywasz to grą?

- Wierz mi, panno Linden, od razu byś dostrzegła różnicę, gdybym pocałował cię naprawdę.

- Nie miałeś prawa - podniosła głos - całować mnie ani dotykać.

- A na czym, twoim zdaniem, miał nas przyłapać White? Na uprzejmej rozmowie? Grze w karty? Myślisz, że podobne zajęcia przekonałyby go, że powinien zostawić nas samych? - Jack był wyraźnie ubawiony.

- Nie, ale chociaż mogłeś mnie ostrzec, co zamierzasz.

- Chciałem sprowokować przekonującą reakcję z twojej strony, ale nie przypuszczałem, że odpowiesz tak gwałtownie, tak brutalnie. - Ciągłe jeszcze bolało go krocze po solidnym kopniaku. - Kto cię nauczył tej sztuczki z kolanem?

- Mój brat.

Musiał zmienić swoją pierwotną opinię o pannie Linden.

- Być może powinienem był cię uprzedzić, ale bałem się, że się wycofasz. -

Ponownie przeczesał włosy palcami. - Muszę cię jednak ostrzec co do reszty.

- Reszty?! - Szeroko otworzyła oczy.

- Mówiąc wprost, obłapka to jednak coś innego niż pocałunek. Musimy przekonać White'a, że idzie nam o coś więcej. - Zobaczył, jak z trudem przełknęła ślinę. - To tylko chwyt, który powstrzyma White'a i Buckleyów. Rozumiesz, panno Linden?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Mam udawać dziewczkę?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Być dziewczką, a udawać dziewczkę to wielka różnica - powiedział w końcu.

- Zapewne. - Powiedziała to tonem, który oznajmiał dokładnie coś przeciwnego.

- Nie chcę zlec z tobą w łóżku. Będziemy tylko udawać.

- Jak przy pocałunku?

Na moment zaległa cisza.

- Masz lepszy pomysł, panno Linden?

- Nie. - Odwróciła głowę i zacisnęła dłonie.

Uznał, że zlekceważy jej zdenerwowanie, zaczął więc spokojnie objaśniać:

- White nie zapuka tutaj, ale będzie czekał pod drzwiami. Może tu wejść w każdej chwili i powinien zobaczyć to, czego się spodziewa. - Spojrzał na nią wyczekująco.

- Panie Black, pragnę pana poinformować, że nic nie wiem o... - Zawahała się, spuściła wzrok. - O podobnych sprawach. - Podniosła głowę, spojrzała śmiało. - Zgadzam się zrobić, co trzeba, dla ratowania życia mego brata.

- I własnego.

- To prawda. - Głęboko odetchnęła. - Powiedz mi więc, co mam robić, sir.

W innych okolicznościach Jack wielce byłby rad, gdyby usłyszał podobne zdanie z ust Franceski Linden, ale nie teraz, nie tutaj.

- Daj mi pelerynę. - Palce lekko jej drżały, kiedy rozwiązywała troczki. Po chwili trzymał pelerynę w ręku. Złożył ją w coś na kształt poduszki i położył na swoim rybackim kaftanie. - A teraz odwróć się. Rozepnę ci suknię.

- Suknię?

- Suknię, panno Linden. - Wahala się przez chwilę, już myślał, że odmówi, ale w końcu odwróciła się i Jack zaczął rozpinać kolejne haftki. Suknia rozchyliła się

niczym wachlarz, ukazując warstwy bielizny: halki, gorset, koszula... Delikatna skóra na karku... - Możesz ją zdjąć?

- Nie. - Odetchnęła. - Musisz rozpiąć do końca.

Wrócił więc do pracy i po chwili suknia zsunęła się na podłogę.

- Halek nie zdejmuj, ale gorsetu musisz się pozbyć. - Stał za nią tak blisko, że czuł delikatny zapach perfum.

Wykręciła głowę i spojrzała na niego z grymasem niechęci na twarzy.

- To konieczne?

- Inaczej bym cię o to nie prosił. - Widział, jak się waha, wreszcie pozwoliła mu rozwiązać gorset, który wkrótce znalazł się na podłodze obok peleryny i kaftana.

- A teraz odwróć się - polecił.

Stanąła twarzą do niego, spokojna, opanowana. Została w halkach, a od pasa w górę za cały przydziewek miała koszulę.

Gdy wyjął jej spinki z włosów, węzeł na karku rozsypał się w długie pukle. Miał ochotę zanurzyć w nich palce, lecz zamiast tego szybko odwrócił wzrok.

- Zdejmij trzewiki i połóż się na moim kaftanie.

Rozwiązał halsztuk i rzucił go na podłogę, po czym ściągnął koszulę przez głowę. Kątem oka widział, że panna Linden usiadła na kaftanie i ustawiła porządnie trzewiki koło ubrań. Z włosami luźno spływającymi na plecy wyglądała jak syrena, mityczna uwodzicielka.

Rozpiął spodnie i przyklęknął obok posłania.

- Połóż się. - Nadal jednak siedziała, obejmując kolana rękoma. - Jeśli White tu wejdzie - perswadował - będę musiał położyć się na tobie.

- Przygnieciesz mnie - zauważyła niezbyt mądrze. Była coraz bardziej zdenerwowana i nie potrafiła już tego ukryć pod maską opanowania.

- Nie bój się, nie przygniotę. A teraz połóż się wreszcie.

- Och! - Spojrzała na niego z wyniosłym lekceważeniem.

- Panno Linden? - ponaglił ją.

- Smakowita bestyjka. Nic dziwnego, że Black tak długo się z nią zabawia - oznajmił ze śmiechem White.

Tom zacisnął zęby. Usiłował nie zwracać uwagi na sprośne komentarze mężczyzn, ale niedobrze mu się robiło na myśl, że White i pozostali mówią o jego siostrze.

- Ten to ma szczęście - powiedział ktoś.

- Dasz ją nam, kiedy sam już się nacieszysz? - zapytał inny.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze, możecie mieć, co tylko chcecie.

- Oj, chętnie pobawię się jej cycuszkami - rozmarzył się Łasica. - A ty, Tom? Masz na nią chęć?

Tom wbił paznokcie w zaciśnięte dłonie i próbował przywołać na twarz grymas, który byłby choć trochę podobny do uśmiechu. Niestety, nic z tego.

- A może mały Tommy ma inne gusta? Dlatego taki bladziutki.

Tom zeszywniał. Był wściekły, a przy tym bał się i martwił o Francescę. Słyszał jej krzyki, nie mógł ich znieść, chciał biec do niej, ale wtedy zepsułyby wszystko.

- No, jak tam z tobą jest, Tommy? - Łasica z całej siły klepnął go w plecy.

- Zostaw chłopaka - odezwał się Rudy. - To jeszcze prawiczek, nigdy nie miał kobiety. Mam rację, mały?

Tom tylko skinął głową, bo bał się, że głos go zawiedzie.

White zaśmiał się.

- Dobrze trafiłeś, Linden. W końcu będziesz mógł wyobrać dziewczkę. Jak przyjdzie na ciebie kolej, będzie całkiem już potulna. Jeśli grzecznie poprosisz, pan Black udzieli ci kilku rad. To prawdziwy ekspert w tych sprawach.

Tom doskonale wiedział, jaką reputacją cieszy się Jack Holberton w Londynie. Wolał o tym nie myśleć, zważywszy na to, że jego siostra była teraz sama z tym nicponiem.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Rudy.

- Jakoś dziwnie wygląda - zauważył Łasica.

Tom skinął głową i spuścił wzrok w obawie, że kompani mogą odgadnąć prawdę.

- Co się z tobą dzieje, chłopaku? - dochodził Łasica.

- Nic. - Tom zebrał się w sobie.

- Podnieca go nasza gadanina, jak to prawiczka. Zostawcie go w spokoju - odezwał się Rudy.

- To mnie nie obchodzi. Ma być gotów na spotkanie. Nie wolno wam popełnić żadnego błędu. Rozumiecie?

Widać było, że rozumieli, wszak doskonale znali swój fach.

Z kabiny doszedł stłumiony odgłos. Tom nawet nie spojrzał na drzwi. Powinien raczej myśleć o tym, dla jakiego celu znalazł się na pokładzie „Swifta”. Wierzył, że Francesca będzie bezpieczna pod opieką Jacka Holbertona. Musiał w to wierzyć.

Słyszała hurkot przesuwanych skrzyń i głosy dochodzące z sąsiedniego pomieszczenia. Zdawały się rozbrzmiewać tuż obok... Leżała płasko na plecach, Black wyciągnął się obok niej, posunął jej halki na wysokość ud, zbliżył twarz do jej twarzy i powiedział cicho:

- Kiedy tu wejdzie, protestuj, tylko może nie tak zapalczywie jak poprzednio.

Skinęła nieznacznie głową. Starła się nie ruszać. Nie oddychać. Przytłaczała ją bliskość Blacka, emanująca od niego męskość.

- Udusisz się, jeśli dłużej będziesz wstrzymywała oddech.

Spojrzała na niego, na jego twarz zaledwie o kilka centymetrów od jej twarzy. W blasku latarni ciemne oczy nabierały łagodnego, miękkiego wyrazu. Głęboko odetchnęła. Czowała, że pałają jej policzki. Odwróciła wzrok.

- Jak długo musimy tak leżeć?

- Rani mnie twoja niecierpliwość. Chyba nie jestem aż tak odrażający?

- Powiedzmy, że przeceniasz swoje walory. Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Uśmiechnął się z rezygnacją.

- Dopóki nie dopłyniemy do wyznaczonego punktu, panno Linden.

- Gdzie odbierzecie towary, które zamierzacie przeschmuglować?

- Mhm...

- A kiedy już odbierzecie towary?

- Wtedy będziesz bezpieczna, panno Linden.

- A pan White? Przecież ty też słyszałeś, co powiedział.

- Nie tknie cię. Nikt cię nie tknie.

- Skąd ta pewność? - Popatrzył na nią bez słowa, i było to bardziej przekonujące niż wszelkie zapewnienia. Zrodziła się w niej nikła nadzieja. - Co będziemy robić do tego szczęśliwego zakończenia?

Uniósł brwi w taki sposób, że spiorunowała go wzrokiem.

- Moja droga panno, nie patrz tak na mnie. Miałem na myśli tylko to, że sobie porozmawiamy. - Teraz już nawet odetchnęła z pewną ulgą, nadal jednak spoglądała na niego czujnym okiem. Obserwował jej tę niemą mowę. - Opowiedz mi o sobie, panno Linden.

Zabrzmiało to tak grzecznie i wytwornie, jakby byli na przyjęciu, tymczasem leżeli półnaczy na rybackim kaftanie w śmierdzącej rybami kabinie kutra. Paradne. Serce biło jej zbyt szybko, czuła puls na szyi. Głęboko odetchnęła. Niemal dotykała piersią torsu pana Blacka. Zaczerwieniła się, odwróciła wzrok. Nie chciała, by widział jej zakłopotanie. Była osobą silną i opanowaną, przynajmniej takie starała się robić wrażenie. To na nią spadła odpowiedzialność za rodzinę, kiedy mama zaczęła chorować. Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała siły.

- Panno Linden? - przynaglił ją łagodnie.

- Tak? - Za wszelką cenę musi się opanować.

Gdy spojrzała na niego, była zupełnie spokojna.

- Urodziłaś się w Lannacombe? - zapytał tym swoim salonowym tonem.

- Nie, w Salisbury. To rodzinne miasto mojego ojca. Przenieśliśmy się potem do Looe w Kornwalii, gdzie tata dostał parafię. Do Lannacombe sprowadziliśmy się, kiedy skończyłam osiemnaście lat.

- No tak, jasne, przecież twój ojciec był duchownym.

- Zmarł cztery lata temu.

- Przykro mi.

- Wiedziałaś...

- Co nieco, od twojego brata.

- No tak, nie pomyślałam.

- A więc mieszkasz z matką i bratem?

- I trzema młodszymi siostrami.

- Z trzema? To mały Tom musi być bardzo rozpieszczony.

Uśmiechnęła się.

- Nie pozwala na to. Jest uparty, jak pewnie zauważyłeś, zawsze chodzi własnymi drogami. - Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Od kilku tygodni czułam, że coś się święci. Znikał o zmroku, niby na ryby, ale nigdy wcześniej nie wędkował w nocy. Próbowałam się z nim rozmówić, ale nabrał wody w usta. Wiedziałam, że coś jest nie tak, dlatego poszłam za nim.

- Co zamierzałaś? Siłą sprowadzić go do domu?

- W każdym razie nie pozwoliłabym mu wsiąść na kuter, a jutro bym się z nim rozprawiła. - Westchnęła. - Rozumiem, że Tom chciał zarobić kilka groszy, bo zbliżają się święta, ale to zbyt niebezpieczne. Gdyby ktoś w miasteczku dowiedział się, że Tom pracuje dla Buckleyów... - Odwróciła głowę, przestraszona, że za dużo powiedziała.

- Bardzo dbasz o rodzinę.

Westchnęła głęboko. Tym razem nie przejmowała się bliskością Blacka.

- Tak, dbam. A dzisiaj narobiłam im tylko kłopotu.

- Nie powiedziałbym. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Zadbam, żeby Tom nie zadawał się już więcej z Buckleyami. - W jego spojrzeniu były i serdeczność, i lekka kpina.

- Oby ci się udało. - Czuła pod plecami twardą podłogę i przenikającą do kości wilgoć, ale nie z powodu zimowego chłodu drżała na całym ciele.

- Zimno ci? - Dotknął lekko jej nadgarstka.

Miała wrażenie, że jego palce parzą. Przysunął się jeszcze bliżej.

- Panie Black! - wykrzyknęła oburzona i odsunęła się.

- Chcę cię ogrzać, panno Linden, nic więcej - powiedział takim tonem, jakby była dzieckiem.

Musiała przyznać, że zrobiło się jej cieplej, niemniej jednak...

- To nie przystoi. - Zrobiło się jej głupio, tak nedorzecznie zabrzmiały te słowa. Leżała półnaga na kutrze przemytników obok obcego mężczyzny, w środku nocy, podczas szmuglerskiej eskapady. Gdzie tu mówić o tym, co przystoi, a co nie.

Zaśmiał się, jakby pomyślał dokładnie to samo.

- A to czemu?

Spojrzała na niego, jakby postradał zmysły.

- Ja jestem niezamężną kobietą, a ty...

- Tak? - Wyraźnie się zaciekawił.

- Jesteś obcym człowiekiem, przemytnikiem... oraz mężczyzną, na litość boską! - Chroniła ją tylko cienka koszula i zaplecione na piersi ręce, ale tego już nie powiedziała. On zaś po prostu uśmiechnął się. A niech to... - Nie znam cię przecież!

- Mam na imię Jack, niedawno skończyłem dwadzieścia sześć lat. Teraz już mnie znasz.

- Jesteś niemożliwy, mój panie.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Być może, w każdym razie ludzie tak powiadają.

Uniosła lekko głowę.

- Nadal jesteś obcym człowiekiem.
- Nie mieszkam w Lannacombe, ale pochodzę z tych stron, z Devonu.

Trochę ją zaskoczyła ta wiadomość.

- I pracujesz z Buckleyami...
- Owszem.

Niebezpieczny przestępca, a ona leży obok niego na wpół rozebrana i uprawia konwersację. To okropne, już nawet nie śmieszne. Matka dostałaby ataku serca, gdyby ją teraz zobaczyła.

A jednak, wbrew zdrowemu rozsądkowi, ufała mu, temu przemytnikowi.

- Jeszcze coś chciałabyś wiedzieć?

Nie odpowiedziała, zapatrzyła się w sufit. To on odezwał się po dłuższej chwili:

- Jestem najgorszym synem, jakiego można sobie wyobrazić. Przynoszę despekt mojej rodzinie. Ojciec mnie przeklina, matka zalewa się łzami, a bracia gorzko żałują, że się w ogóle urodził. Jestem kobieciarzem, opojem i hazardzistą. Nie wiem, co znaczy honor. Jakby tego było mało, omal nie zabiłem własnego brata. Krótko mówiąc, panno Linden, jestem przysłowiową czarną owcą. Najczarniejszą. To wszystko, co należałoby o mnie wiedzieć. Zaszokowałem cię? - Pomimo lekkiego tonu dostrzegła w jego oczach smutek, który szybko jednak zamaskował. Powoli pokręciła głową, milczała nadal. - Mimo iż przyznałem, że ze mnie z gruntu zły człowiek?

- Nie wierzę ci, sir.

Uniósł brwi.

- Dlaczego? Zaręczam, że to wszystko najprawdziwsza prawda.
- Chociaż stosujesz dziwne sposoby, to jednak chcesz uratować mnie i mojego brata.

Teraz widziała w jego oczach ból i cierpienie. Zapomniała, że ma być silna, nieugięta, opanowana. Gdzieś zniknęło całe to udawanie.

Patrzyli na siebie przez chwilę, niczego nie ukrywając. W tej właśnie chwili zrodziło się między nimi porozumienie, a nawet coś jakby więź.

Tak, więź.

- Jeden honorowy uczynek może zmasać wszystkie grzechy - powiedziała cicho.

- Oby tak było... - Odwrócił głowę i więź prysła, w jej miejsce pojawiły się zaskoczenie i zakłopotanie.

- Jaki temat proponujesz, sir?

- Polityka, religia, teatr, wszystko jedno, panno Linden - odpowiedział obojętnym tonem, którym rozmawiał z White'em

Jednak Francesca nie dała się zwieść. Poznała go już na tyle, by wiedzieć, że to zacny człowiek.

- Linden, przygotujcie z Rudym sieci, będą nam potrzebne przy przejmowaniu transportu. - W głosie White'a dało się słyszeć irytację.

- Ale pan Black... - Tom nie wiedział, czy jego pojawienie się w kajucie nie pokrzyżuje planów lorda Holbertona i nie będzie stanowiło zagrożenia dla Franceski.

- Pan Black tak jest zajęty dziewczką, że nawet was nie zauważy, gamonie.

Rudy skinął głową i podniósł się ze skrzynki.

- Idziemy, mały.

Tom ruszył za nim posłusznie.

Francesca usłyszała kroki i zanim się zorientowała, w czym rzecz, Black leżał już na niej. Oparł się na łokciach, żeby nie przygnieść jej swoim ciężarem.

Tak jak zapowiedział, zaczął ją całować, tym razem wiedziała jednak, czego się spodziewać. Rozległo się pukanie do drzwi.

Black przestał ją całować, ale się nie odsunął. Dojrzała w jego oczach błysk ostrzeżenia.

Pukanie rozległo się ponownie.

Znowu zaczął ją całować. Tym razem dojrzała w jego spojrzeniu coś, co nie było grą, udawaniem. Przypomniała sobie, że powinna się opierać. Zupełnie zapomniała, na czym polega jej rola. Zaczerwieniła się zawstydzona i zaczęła zajadle walczyć.

- Puść mnie, łajdaku!

Black chwycił jej nadgarstki i skrępował nad głową.

Słyszała, jak ktoś nieśmiało wchodzi do kajuty, a potem rozległy się ciche słowa:

- Proszę wybaczyć, sir, że przeszkadzamy, ale pan White kazał przygotować sieci.

Francesca poczuła, jak Black nieruchomieje, napręży mięśnie. Coś było nie tak, ale ze swojej pozycji nie mogła dojrzeć stojącego w progu mężczyzny.

- Zabieraj je i znikajcie - powiedział zimnym głosem. - Obaj.

A więc dwóch, nie jeden. Dzięki Bogu Black ją osłaniał.

- Tak jest, sir. Przepraszam raz jeszcze - powiedział ten sam głos i usłyszała szybkie kroki. Ten drugi nie poruszył się, nie odezwał ani słowem.

- Chodź, mały - szepnął nalegająco ten pierwszy.

Francescę przeszedł dreszcz.

Black obrócił się na posłaniu i udawał, że poprawia spodnie. Okryła się kocem i rozejrzała po pomieszczeniu.

Dojrzała mężczyznę o rudych włosach, który zbierał sieci... i zamarła. Kilka kroków od posłania stał jej brat. Był blady, twarz wykrzywiała mu wściekłość. Nigdy go jeszcze takim nie widziała.

Pokręciła nieznacznie głową, dając bratu znaki, by zachował spokój, ale było już za późno. Tom przestał myśleć logicznie, stracił panowanie nad sobą. Z tej całej wściekłości musiał zapomnieć, jakie niebezpieczeństwo groziło siostrze ze strony White'a.

Jack wiedział, co zaraz nastąpi. Tom działał instynktownie, oślepiony gniewem, zdjęty furją. Gdyby nie zareagował błyskawicznie, chłopak zepsułby wszystko.

- Ty łajdaku! - Tom rzucił się na niego.

- Nie! - krzyknęła Francesca, podrywając się z posłania.

- Połóż się - polecił jej Jack.

Tom był czerwony z wściekłości. Zamierzył się pięścią na Jacka.

- Co ty ro...?

Jack zdzielił go tylko raz, w gardło.

Tom jęknął, osunął się na kolana, po czym stracił przytomność.

Francesca chciała podbiec do brata, ale Jack chwycił ją za rękę i obrócił ku sobie. Rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie. Miał nadzieję, że okaże więcej opamiętania niż porywczy młokos.

- Kładź się! - Wiedział, że za chwilę w drzwiach pojawią się wścibscy marynarze, o ile już się nie pojawili. - Bierz sieci, zabieraj tego głupca i wynoś się - zwrócił się do Rudego, który stał z rozdziawionymi ustami, jakby nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zobaczył.

W drzwiach stał już White. Był wyraźnie zaskoczony.

- Co się tu, do diabła, dzieje? - Spojrzał na Jacka, na Francescę, na nieprzytomnego Toma rozciągniętego na podłodze.

- Młodemu Lindenowi nie podobało się, że zająłem się dziewczką.

- Co go to obchodzi? Całą noc dziwnie się zachowywał.

- Pewnie wypił. - Jednak White nie wydawał się przekonany, dlatego Jack rzucił niedbale: - Ja już skończyłem. Możesz ją sobie wziąć, jeśli chcesz.

Na twarzy Franceski odmalował się szok.

Zdradził ją, zawiódł jej zaufanie. Zacisnęła kurczowo palce na kocu.

White zmierzył ją uważnym wzrokiem. Doprawdy, obiecujący widok... Otrząsnął się. Dzierlatka później.

- Nie teraz. Za chwilę przejmujemy transport. Mamy ich już w zasięgu wzroku.

- Będzie czas w drodze powrotnej. Powiadam ci, że jest tego warta. - Jack wciągnął koszulę przez głowę i wetknął ją do spodni.

- Skoro jest taka dobra, z pewnością się z nią zabawię. - White zerknął w bok, bo Tom poruszył się i cicho jęknął. - Chłopak zaczyna nam przeszkadzać. - Kopnął go w kostkę.

- Masz rację - przytaknął Jack, modląc się, żeby Francesca zachowała spokój.

- Później się nim zajmę - zakończył temat White.

Jack uśmiechnął się zimno, naciskając knykcie prawej dłoni lewą.

- Może lepiej ja się nim zajmę. Ty będziesz zajęty... innymi sprawami. -

Uniósł znacząco brwi.

White zachichotał.

- Bardzo dobrze. - Odwrócił się do marynarzy zagapionych na Francescę. - Bierzcie sieci i wszyscy na pokład. - Kiedy Rudy podszedł do Toma, warknął: - Zostaw tego głupca, gdzie leży.

- Tutaj, z kobietą? - zdziwił się Rudy.

- Będzie bezpieczna przy takim obrońcy.

Jack podniósł kaftan z podłogi, otrzepał go i wdział na siebie nieśpiesznie. Francesca stała z boku z wysoko podniesioną głową.

Wyszedł z kabiny razem z White'em. Ludzie z załogi zniknęli wcześniej, zabrawszy sieci. Już stawiał nogę na drabinie prowadzącej na pokład, gdy dotknął szyi.

- Do diabła, Halsztuk. Zapomniałem o tym cholerstwie.

- Nieważne. Jesteś rybakiem. Nie wybieramy się do Brooksa - mruknął White.

Jack uniósł brwi, na co White przewrócił oczami.

- Będę na pokładzie.

Jack wrócił do kabiny, pociągnął drzwi, ale nie zamykał ich. Francesca nachylała się nad bratem. Wyprostowała się gwałtownie, kiedy wszedł.

- Mogłeś go zabić.

- Gdybym chciał go zabić, już by nie żył. Musiałem go jakoś uciszyć, bo wszystko by zepsuł.

Wiedziała, że Black ma rację, ale nie zamierzała ustąpić zbyt łatwo.

- Niepotrzebnie uderzyłeś tak mocno.

- Musiałem, Francesco. Przez kilka dni poboli go gardło. To chyba lepsze niż mieć je podcięte od ucha do ucha.

- Powiedziałeś White'owi, że może mnie mieć. Namawiałeś go.

- Zrobiłem tak, żeby nie zadawał zbyt wielu pytań na temat Toma albo nie skopał go do nieprzytomności.

- Obiecałeś, że White...

- Nie ruszy ciebie. Nikt cię nie ruszy. Zaufaj mi, proszę. Wszystko będzie dobrze. - Miał ochotę wziąć ją w ramiona, ale zabrał tylko halsztuk, odwrócił się i szybko wyszedł z kajuty, zostawiając Francescę nieruchomą niczym posąg.

ROZDZIAŁ TRZECI

Jack zawiązał starannie dość paskudny halsztuk i wyszedł na pokład. Noc była mroźna i mroczna, grudniowe morze wzburzone. „Swift” kołysał się na wysokiej fali, ale radził sobie dzielnie. Wiał przenikliwy wiatr. Jack czuł na twarzy drobne kropelki wilgoci. Statek, z którym mieli się spotkać, był blisko, jakieś dwadzieścia stóp od burty „Swifta”.

Jack podszedł do White'a i powiedział:

- Chyba już czas na przerzut.
- Crouvier chce obrócić statek. Przy tej pogodzie przerzut nie będzie łatwy.
- No to mamy wyzwanie. - Jack uśmiechnął się.

Statek Francuzów był mniejszy od „Swifta”, ale wyglądał na wytrzymały. W mroku niewiele można było dojrzeć, jakieś sylwetki na pokładzie, twarze oświetlane chybotliwym blaskiem latarni. Na rufie łopotała flaga, ale kolorów nie dało się rozróżnić. Stateczek wykonał manewr i dotykał teraz niemal sterburty „Swifta”. Poszły w ruch bosaki do abordażu. W tej krytycznej chwili przydało się doświadczenie Łasicy oraz Rudego, bo przy takiej pogodzie abordaż wymagał nie lada umiejętności. Drobny błąd i statki uderzyłyby o siebie burtami z fatalnym skutkiem. Strzaskane kadłuby i śmierć w lodowatej wodzie, tak by się to mogło skończyć.

Jack poczuł przyływ energii. Czuł mocne bicie serca, krew krążyła szybciej w żyłach. Spokojnie, bez pośpiechu, mitygował się. Najważniejsze było precyzyjne wyliczenie czasu, ten moment zaraz nadejdzie.

Zza gęstych chmur wychynał księżyc. Jack wstrzymał oddech i wpatrywał się w rozświetlone na moment srebrnym blaskiem morze.

Myślał o tym, co mogłoby się stać z Francescą, gdyby tak długo przygotowywany plan się nie powiódł. Nie mógł do tego dopuścić, w żadnym

wypadku, za żadną cenę. Nie dał po sobie poznać, jak bardzo się niepokoi. Z obojętną miną podszedł do burty.

- Wszystko gotowe - powiedział Łasica.

Do burty podszedł także White. Podnośnik na francuskim statku był już gotowy do przeładunku beczulek. Dopiero teraz Jack dojrzał nazwę na dziobie: „Bien Aimé”. Jakiś człowiek na francuzie sprawdzał liny podnośnika. Potężny, barczysty, w wełnianej czapce naciągniętej głęboko na czoło, jakby od niechcenia pozdrowił White'a.

- Monsieur Crouvier - odwzajemnił powitanie i zamienił kilka zdań po francusku.

Jack pilnie łowił każde słowo. Sto beczulek najprzedniejszego francuskiego koniaku po pięć szylingów za galon. W Londynie sprzedają to za pięciokrotnie wyższą cenę.

Wokół było pusto. Po drodze nie spotkali żadnego statku. Następny przerzut miał się odbyć za dwa tygodnie, w dzień po Trzech Królach.

White i Crouvier wymienili skórzane woreczki, które zawierały dokumenty konieczne dla dopełnienia operacji. Dokumenty oraz pieniądze. Jacka ogarnął niesmak i gniew, ale zachował obojętny wyraz twarzy. Ludzie na francuzie zaczęli przerzucać beczułki na pokład „Swifta”. Była to żmudna praca. Każda beczułka ważyła pięćdziesiąt funtów. Na łodzi transport byłby prosty, tragarz brał dwie beczułki połączone liną, zarzucał je sobie na plecy i na pierś i tak wnosił po klifie, lecz tutaj, w mroku, na wietrze i przy wysokiej fali stawał się trochę bardziej skomplikowaną sprawą. Przerzucano za pomocą kołowrotka po cztery beczułki powiązane siatką lin. Nieobecność Toma nie spowalniała pracy.

Jack znowu pomyślał o Francesce, o tym, co musiała przejść tej nocy, o jej odwadze, opanowaniu... O jej słodkim zapachu i delikatnych ustach...

Czuł jeszcze jej kształty. Śmiać mu się chciało, bo też sytuacja była absurdalna. Spędził niemal godzinę, tworząc mistyfikację, gdy o wiele prościej

byłoby posiąść ją. Pragnął jej, ale dni beztroskich uciech minęły. Jack wiedział, że choćby stawał w podobnym położeniu i tysiąc razy, wybór zawsze byłby ten sam.

Francesca odwróciła się plecami do brata i wykręcając ręce w niemożliwy sposób, usiłowała zapiąć suknię. Kiedy już skończyła się ubierać, usiadła obok Toma.

Dotknął ostrożnie gardła, a potem zaczął rozcierać kostkę.

- Sukinsyn - szepnął. - Ależ mnie kopnął. Boli jak wszyscy diabli.

- Tom! Nie musisz używać takiego języka.

- Owszem, muszę, kiedy widzę, jak hultaj próbuje wykorzystać moją siostrę.

- Nie próbował, uwierz mi. Udawaliśmy, żeby White zostawił mnie w spokoju. To wszystko.

- Na litość boską, Francesco, widziałem, jak zapina spodnie!

- Mówię ci, jak było. - Spojrzała mu prosto w oczy. Tak chciała, żeby jej uwierzył... - Gdyby nie pan Black, oboje już byśmy nie żyli. Omal nie popsuleś wszystkiego przez swoją porywczosć.

- A co miałem zrobić? Wyjść tak po prostu?

- Owszem!

- Myślałem, że on... - Przez twarz Toma przebiegł skurcz.

- Wiem. Tak miał pomyśleć każdy, kto by wszedł do kabiny.

Zamknął oczy i oparł się o ścianę.

- Co teraz, Francesco?

- Musimy wierzyć, że twój pan Black wie, co robi. Trzeba mu zaufać. Nie pozostaje nam nic innego. - Uśmiechnęła się z przymusem, usiłując dodać otuchy bratu. - Jutro będziemy z powrotem w Lannacombe i zajmiemy się szykowaniem świąt. Jeśli nam się poszczęści, mama może nie zauważy, że nie było nas całą noc w domu. - Wiedziała jednak, że próżna to nadzieja.

Ludzie na „Swiftie” w skupieniu odbierali kolejne baryłki z „Bien Aimé”. Byli w połowie przeładunku, gdy wtem pojawił się „Sokół”, fregata floty królewskiej. Szybko zbliżał się do złączonych stateczków.

- Niech to wszyscy diabli! - zaklął White. - Odczepiaj „Swifta”, Łasica. Natychmiast!

Na statkach wybuchła panika. Francuzi i Anglicy jednako klęli i krzyczeli. Przecinano pośpiesznie liny, należało jak najszybciej uciekać, tylko to jedno się liczyło. Ale fregata była szybkim, dużym żaglowcem, kutry nie miały żadnych szans. Dzieliło ją raptem pięćdziesiąt stóp od przemytników. Pojawiła się nieoczekiwanie, niczym statek widmo wyłaniający się z morskiego odmetu.

- Niech ich najczarniejsze piekło pochłonie - mruczał White do siebie. - Odplywamy, Łasica. Natychmiast!

Statki rozdzieliły się. Fregata nie mogła, oczywiście, ścigać obu jednocześnie. Na wielkim żaglowcu zapłonęły latarnie, otwarto luki armatnie w burtach i przygotowywano się do ataku.

- Szybciej, człowieku! Szybciej! - ponaglał White.

Było za późno. Rozległ się potężny huk i pocisk wpadł do wody niebezpiecznie blisko burty „Swifta”.

Francuz wykonał manewr zwrotny, gotował się do ucieczki. Kolejny wystrzał i przeznaczony dla „Bien Aimé” pocisk zniknął w wodzie tuż przy burcie.

- Zatrzymajcie się! - krzyknął kapitan fregaty. - Albo was zatopimy.

Francuz opuścił flagę do pół masztu, widomy znak poddania.

White jeszcze liczył na udany odwrót.

- Szybciej! Szybciej!

„Sokół” celował na zawietrzną. Chciał zatrzymać „Swifta”, a nie roztrzaskać. Dysponował dobrymi działami i sprawnymi artylerzystami.

Jack ukrył się, gdy jeden z pocisków uderzył w pokład. „Swift” musiał się poddać.

Francesca i Tom słyszeli kanonadę.

- Jesteśmy uratowani - szepnął Tom.

- Pojmą cię przecież. To ludzie od ceł.

- Nie. To mary... - Tom przerwał w pół słowa, gdy tuż nad ich głowami huknął pocisk.

Statek zakołysał się niebezpiecznie. Francesca uderzyła o ścianę. Strzelanina skończyła się, zapadła głucha cisza.

- Tom, nic ci się nie stało?

- Nie - szepnął ochryplym głosem. - A tobie, Fran?

- Nic mi nie jest.

- Trafili nas.

- Ale wstrzymali ogień.

- Na razie. White pewnie próbował uciekać. Miejmy nadzieję, że nie uszkodzili kadłuba, bo wtedy „Swift” zatonie, zanim zdążą nas uratować.

Spojrzała na drzwi.

- Pan Black nie zamknął nas na klucz.

- Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś?

- Nie dałeś mi sposobności.

Tom westchnął bezradnie.

- Wyjdźmy stąd. - Sąsiednie pomieszczenie było puste, ale latarnia została.

Przemknęli do drabiny wiodącej na pokład. - Zaczekaj tutaj. Sprawdzę, co się dzieje na górze.

Jednak nie zamierzała czekać, tylko oznajmiła:

- Idę z tobą, Tom.

Wzniósł oczy do nieba, ale nie próbował sprzeczać się z siostrą. Wspiął się po drabinie pierwszy, Francesca za nim. Od razu dojrzeli baryłki, które zdążono przerzucić z francuza. Przycupnęli za nimi. Tom chciał coś szepnąć, ale Francesca

położyła palec na ustach. Tuż obok baryłek stali panowie White i Black i spoglądali z ponurymi minami na ogromną fregatę.

Z fregaty spuszczano właśnie dwie szalupy z marynarzami. Jedna skierowała się do „Bien Aimé”, druga podpłynęła do „Swifta”.

- Koniec zabawy - powiedział Jack, zwracając się do White'a.

- Ktoś musiał im donieść. Jak inaczej by wiedzieli, gdzie nas szukać? -

Patrzył, jak marynarze z muszkietami gotowymi do strzału wspinali się po sznurowym trapie na pokład. - To na pewno ten przeklęty Linden. Teraz wiemy, dlaczego zachowywał się tak dziwnie przez całą noc. Skręcę mu kark tymi rękoma.

- Nie śpieszyłbym się tak, Grosely.

- Zwariowałeś? Czemu wymieniasz moje nazwisko? - Posłał Jackowi wściekłe spojrzenie. - Używaj pseudonimów. A teraz milcz, ja będę rozmawiał.

- Dość już powiedziałaś, mój panie. - Ten ton...

Gdzieś zniknął bez śladu znudzony utracjusz i hulaka.

- Co takiego? Wyświadczyłem ci przysługę, że dopuściłem do interesu.

Powinienem cały koniak zatrzymać dla siebie, zamiast dzielić się z tobą.

- Tak jak powinieneś zatrzymać tajemnice państwowe dla siebie, zamiast sprzedawać je Francuzom.

- Co...?! Do diabła! A więc to ty... - Po prostu go замуrowało.

- Myślałeś, że o niczym nie wiem? Aż tak jesteś naiwny?

- Wielkie nieba! A więc to ty współpracujesz z admiralicją! Zdradziłeś nas, wydałeś.

- Na pokładzie jest tylko jeden zdrajca. Mam go właśnie przed sobą. - Jack wyjął pistolet z kieszeni kaftana. - Rzuć laskę i podnieś rękę.

White zaklął szpetnie, ale postąpił, jak mu kazano.

- Zarabiam na przerzutach koniak, to wszystko. Jeśli ktoś sprzedaje Francuzom tajemnice państwowe, nie mam z tym nic wspólnego.

- Ludzie z fregaty odzyskują właśnie dokumenty, które przekazałeś na „Bien Aimé”, a Crouvier bez oporów wyjawia tożsamość angielskiego agenta, by ratować własną skórę. Doskonale o tym wiesz.

- Co to ma być? Próba odzyskania łask rodziny?

Na te słowa Jacka ogarnęły wyrzuty sumienia - i gniew.

Zacisnął palec na spuście.

- Nie!

Jack i White odwrócili się gwałtownie. Za ich plecami stała Francesca.

Serce waliło jej jak oszalałe, ale głos brzmiał czysto. Usłyszała okrzyk Toma i poczuła jego dłoń na ramieniu. Usiłował ją odciągnąć, ale Francesca się zaparła.

- Nie rób tego, panie Black.

- Wstawiasz się za tym łajdakiem? - zapytał z niedowierzaniem, trzymając pistolet wycelowany w pierś White'a.

- Sąd wyda wyrok. Jeśli jest winny, zawiśnie na szubienicy.

- Widzisz - powiedział White. - Nawet ona ci nie wierzy.

Tom mocniej pociągnął siostrę.

- Nie wtrącaj się, Francesco. Nie wiesz, co robisz. Grosely jest winny, bez dwóch zdań.

Strąciła dłoń brata z ramienia i spojrzała zimno na White'a, którego nazywali teraz Groselym.

- Wstawiam się za tobą tylko dlatego, sir, bo nie chcę, żeby pan Black był sądzony za morderstwo.

White uśmiechnął się paskudnie, spojrzał na Jacka, potem znowu na Francescę.

- No, no. Musiał ci nieźle dogodzić.

Poczuła, że krew uderza jej do głowy.

- Przeciwnie, Grosely - powiedział Jack. - Cnota panny Linden nic a nic nie ucierpiała.

- Nie bądź śmieszny. Widziałem was.

- Dobrze zagraliśmy.

Dopiero teraz dotarło do niego nazwisko Franceski.

- Linden? To znaczy, że ona...?

- Jest siostrą Toma Lindena.

- Dlatego tak się nią przejmował. To twój człowiek?

- Bez jego pomocy niewiele bym zdziałał.

- Co tutaj się dzieje, Tom? - indagowała nieco ogłupiała siostra.

- Później, Francesco.

- Wolałabym, żebyś odpowiedział teraz - oznajmiła z determinacją.

- Panno Linden... - zaczął Jack, ale nie zdołał nic powiedzieć, bo na pokładzie rozległ się tupot.

- Nie pojawiaemy się za późno, milordzie? - Obok White'a i Jacka stanęło kilku uzbrojonych marynarzy pod dowództwem sierżanta.

- W samą porę, sierzancie Wilcox. Oddaję go w wasze ręce.

- Radzę zachowywać się spokojnie, sir. Zacznesz robić kłopoty, a nadzieję cię na bagnet. - Sierżant był potężnym i nieskorym do żartów wojakiem.

White podniósł wyżej ręce. Na jego twarzy pojawił się kpiący uśmiešek.

- Z nami jeszcze nie koniec, Holberton. Coś ci będę musiał wyjaśnić w bardziej sprzyjających okolicznościach. - Obrócił się do sierżanta.

Na znak dany przez Wilcoxa stanęło przy nim dwóch marynarzy.

- Bierzcie go - rozkazał, po czym spojrzał na Toma i Francescę. - Panna Linden i jej brat są ze mną, sierzancie.

- Rozumiem, sir. Jest pan gotowy opuścić lugier?

- Dziękuję, sierzancie. Jesteśmy gotowi. Panno Linden... Tom...

Tom podprowadził siostrę do sznurowego trapu, a jeden z marynarzy pomógł jej zejść do szalupy. Wiał silny wiatr, słone krople osiadały na twarzy, ale Francesca

tego nawet nie zauważała. Szalupa popłynęła w stronę „Sokoła”. Byli uratowani. Wszystko zakończyło się inaczej, niż mogła przypuszczać.

„Sokół” był szybkim żaglowcem. Nie minęła godzina, a wpływali do zatoki Lannacombe. Fregata nie zbliżała się do portu, pozostała niewidoczna dla ewentualnych obserwatorów na brzegu, dla tych, którzy mogli wypatrywać „Swifta”, by przejąć pochodzący z kontrabandy koniak. Jack nie miał litości dla Buckleyów.

Ludzie z południowego Devonu od wieków trudnili się przemytem, dla wielu tutejszych był to jedyny sposób, by zapewnić chleb rodzinie, ale od kilku lat gang Buckleyów zdominował nielegalny handel, rugując bezlitośnie okolicznych wieśniaków z interesu. Mieszkańcy Lannacombe, podobnie jak Jack, mogli się tylko cieszyć, że panowanie tej rodziny wreszcie się skończyło.

Na „Sokole” wygaszono wszystkie latarnie, fregata czekała pod osłoną ciemności na pojawienie się „Swifta”. Lugier dał dwa długie, dwa krótkie sygnały latarnią i otrzymał identyczną odpowiedź z brzegu. Z „Sokoła” spuszczone szalupę z marynarzami na schwał. Jack obserwował, jak podpływają do „Swifta”, i klął w duchu, że nie może być tam razem z nimi. Usłyszał niosące się po wodzie okrzyki i kroki za swoimi plecami.

- Porucznik Davis i sierżant Wilcox zakończą sprawę, sir. - Obok Jacka stanął kapitan. - Kiedy nasza szalupa wróci, wpłyniemy do portu. Musimy się upewnić, że nikt nam nie umknął. „Sokół” jest za duży, żeby cumować przy nabrzeżu, ale rzucimy kotwicę w pobliżu kei i przepawimy Lindenów na brzeg.

Jack skinął głową. Nie myślał jednak ani o zdrajcy Groselym, ani o smutnym, choć ze wszech miar zasłużonym końcu bandy Buckleyów. Myślał o Francesce Linden i o tym, dlaczego opowiedział jej prawdę o sobie.

Obudziła się o zwykłej porze w łóżku, które dzieliła z siostrami, Lidią i Anną. W drugim kącie pokoju spała matka z najmłodszą z dziewczynek, Sophy.

Od feralnej nocy na „Swifcie” minął tydzień. Wrócili z Tomem przed świtem przez nikogo niezauważeni, a rano zrelacjonowali rodzinie mocno zmienioną wersję wydarzeń. Życie toczyło się zwykłym trybem, jakby nic się nie stało. Francesca nie miała nawet okazji porozmawiać z Tomem. Zaczynała się zastanawiać, czy naprawdę spędziła noc na kutrze.

Ale na zastanawianie się nie było czasu. Trzeba było posprzątać, rozpalić ogień, zagotować wodę, przygotować owsiankę na śniadanie. Wstała z ciepłutkiego łóżka i natychmiast ogarnęła ją ziać. Odciągnęła odrobinę zasłony. Zaczynało świtać, niebo rozjaśniało się na wschodzie. Podeszła do miski stojącej na komodzie, umyła się szybko w lodowatej wodzie i ubrała. Wyszczotkowała włosy, zaciesała gładko i związała w węzeł na karku. Narzuciła szal na ramiona i wyszła na korytarz. Z pokoju Toma dochodziło głośnie chrapanie. Zeszła na dół, gotowa przystąpić do codziennych zajęć.

Kiedy pojawiła się pierwsza z sióstr, ogień już buzował na palenisku, w kociołku grzała się woda, kawa była gotowa, owsianka pyrkotała w saganku. Paliły się świece, na dworze dopiero dniało.

- Dzień dobry, Francesco.
- Dzień dobry, Anno.
- Dzisiaj powinien spać śnieg.
- Byłoby miło mieć białe Boże Narodzenie.
- A jakże. - Anna napełniła koszyk polanami ze sterty na kuchennym ganku.

Na dół zbiegła w podskokach Sophy.

- Dzisiaj Wigilia! Dzisiaj Wigilia! - Była najmłodsza, oczko w głowie całej rodziny, rozpieszczana na ile to było możliwe w domu Lindenów.

Kilka minut później wszyscy już siedzieli przy śniadaniu. Pani Linden zajmowała miejsce u szczytu stołu, Tom naprzeciwko niej, dziewczynki po bokach.

Ciepła, pożywna owsianka przyjemnie rozgrzewała, a w chacie, choć Francesca rozpałała ogień, panował jeszcze chłód. Pani Linden popijała kawę. Miała

bladą, zmęczoną twarz. Chwycił ją atak kaszlu i odstawiła kubek. Francesca zmartwiała, spojrzała na Toma. Był równie zatroskany jak ona.

Zaraz po śniadaniu Francesca, Tom, Lidia i Sophy wyszli z domu. Spieszyli się na prom do Portlemouth. Anna i matka zostały same. Usiadły przy kominku, by oddać się lekturze.

Dziewczynki pobiegły przodem, tak bardzo im było spieszno na kiermasz świąteczny w Salcombe.

- Czekałam cały tydzień, żeby z tobą porozmawiać - odezwała się Francesca do brata - ale nie mieliśmy okazji być sami. Ustaliliśmy, że nikt w domu nie może się dowiedzieć o naszej eskapadzie.

- Uspokój się, Fran. Nie pisnę słowa. O tym właśnie chciałaś ze mną mówić?

- A także o tym, skąd znasz lorda Holbertona i jakim sposobem znalazłeś się na pokładzie „Swifta”.

- Wiedziałem, co robię.

- Działając jako wtyczka Holbertona? Szpiegując Buckleyów? Bardzo wątpię. Mogli cię zabić. W imię czego tak ryzykować?

- Żeby przyskrzynieć zdrajcę i pozbyć się Buckleyów. Lannacombe wreszcie odetchnie, znowu będziemy mogli żyć normalnie.

- Wszystko jedno, nie powinieneś był podejmować takiego ryzyka.

Rozumiem, że Holberton wciągnął cię w tę sprawę?

- Tak. Uznał, że nikt lepiej niż ja nie nadaje się do tej roboty.

- Syn markiza Flete'a zwrócił się do ciebie?

- Nie dziw się tak. Jestem prostym rybakiem, ale nie głupkiem czy tchórzem.

Coś jestem wart.

- Nie to miałam na myśli.

- Nasza dyskusja prowadzi donikąd - stwierdził Tom kwaśno. - Powinniśmy zapomnieć o „Swifcie” i lordzie Jacku Holbertonie. On już zapomniał o nas.

Miał rację, mówił rozsądnie, ale Francesca wiedziała w głębi serca, że nie potrafi zapomnieć. Tamta noc na trwale pozostała w jej pamięci. Wspomnienie nawiedzało ją we śnie i powracało na jawie. Dziwna rzecz, ale doznania stały się z czasem bardziej wyraziste.

- Nie rozpamiętuję tej nieszczęsnej przygody - skłamała, nie patrząc bratu w oczy.

- I dobrze. Trzymaj. - Podał jej sakiewkę. - Obejdziemy wreszcie święta jak należy. Kupiłem już węgiel, a za to będziemy mieli więcej jedzenia, niż nam trzeba.

- Gdy nieufnie ważyła w dłoni ciężką sakiewkę, dodał: - To nagroda za złapanie Grosely'ego. Bierz śmiało. Zasłużyłaś na te pieniądze.

Francesca powoli włożyła sakiewkę do kieszeni. Dalej szli w milczeniu.

Kiermasz świąteczny w Salcombe odbywał się na głównej ulicy miasteczka, gdzie kramarze rozstawili barwnie przybrane stragany. Tłum był tak gęsty, że trudno było przejść z jednej strony ulicy na drugą. Można było kupić placki świąteczne, świeże bułeczki, drewniane zabawki, różne ozdoby...

Francesca zostawiła dziewczynki przy straganie z błyskotkami i weszła do apteki, żeby kupić matce syrop na kaszel.

Sakiewka ciążyła w kieszeni i przypominała żywo o Jacku Holbertonie.

Zatrzymała się przy straganie z różnokolorowymi wstążkami. Dotknęła satyny, jedwabiu... Powinna ostrożnie gospodarować pieniędzmi, ale w końcu to święta, dziewczynkom należały się prezenty, a wstążkami będą na pewno zachwycone. Kupiła więc trochę wstążek, śliczny czepek dla matki i apaszkę dla Toma. Przez chwilę podziwiała srebrny łańcuszek z wisiorkiem w kształcie stateczku przypominającego „Swifta”. Czyżby nie przypadkiem dojrzała tę małą ozdobę? Wisiorek był bardzo ładny, ale też bardzo drogi. Raz jeszcze spojrzała na stateczek, jednak odłożyła wisiorek i ruszyła do straganu, przy którym zostawiła siostry.

Zewsząd dochodziły rozmaite zapachy: palone kasztany, pieczone ziemniaki, paszteciki z mięsem. Dzień był szary i zimny, ale kiermasz kipiał życiem, czuło się radosny nastrój.

Sophy przyskoczyła do siostry.

- Fran, popatrz, tam sprzedają kasztany! Cudowny zapach, prawda? -

Dziewczynka spojrzała tęsknie w kierunku kosiaka z kasztanami, ale zbyt dobrze wiedziała, co to bieda, by prosić o smakołyk, na który nie było ich stać.

Francesca po raz pierwszy w życiu poczuła się bogata.

- Chcesz kilka?

- Możesz kupić, naprawdę? - Buzia Sophy rozjaśniła się, oczy rozbłyły.

Pomyśleć, że taki drobiazg mógł sprawić tyle radości. Dała Sophy monetę i po chwili dziewczynki wróciły z papierowymi różkami pełnymi gorących kasztanów.

Pojawił się Tom z ogromnym indykiem.

- Jak myślisz, nie za mały dla naszej szóstki? - zapytał, szczerząc zęby, natomiast Sophy i Lidia aż pisnęły z zachwytu, a Francesca uśmiechnęła się. - Widziałem po drodze kram z grzanym winem - dodał Tom.

Poczuli korzenny zapach, zanim jeszcze zobaczyli stragan. Francesca sięgnęła do sakiewki i kupiła dla wszystkich po kubku aromatycznego wina. Tom z dziewczynkami stanęli przy spryciarzu, który naciągał naiwnych na grę w trzy karty. Francesca poprawiła koszyk z zakupami, sprawdziła, czy sakiewka tkwi bezpiecznie w kieszeni. Wtem coś jej kazało spojrzeć w prawo. Zamarła. Kilka kroków od niej stał Jack Holberton.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Rozdzielił ich mrowiący się między straganami tłum, ludzie przesłonili sylwetkę Jacka, a kiedy znowu coś mogła dojrzeć, w miejscu, gdzie chwilę wcześniej stał „pan Black”, pojawił się okrągłutki dżentelmen z damą, zapewne żoną. Rozejrzała się, ale po Jacku nie było śladu. Dotknęła czoła, bojąc się, że zaczyna ulegać omamom.

- Dobrze się czujesz, Fran? Wyglądasz tak, jakbyś zobaczyła ducha - zagadnęła z troską Lidia, biorąc siostrę pod rękę.

- Dobrze, dobrze - zapewniła Francesca. - Poprawiałam tylko koszyk.

- Strasznie zbladłaś.

- Zmarzłam po prostu. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Robi się późno.

Powinniśmy wracać, jeśli chcemy wrócić do domu przed zmierzchem.

- Dopiero wpół do trzeciej - gorąco zaprotestowała Lidia.

- A o czwartej będzie już ciemno.

- Prawda. A Tom przegrał wszystkie swoje pieniądze w trzy karty. Sophy i mnie też się nie poszczęściło. Ten człowiek miał bardzo zręczne ręce. Ani razu nie zgadłyśmy.

- Chodźmy po Toma i Sophy, zanim stracą ostatni grosz.

Ruszyły razem w stronę stolika spryciarza od trzech kart. Już dochodziły na miejsce, gdy Lidia zauważyła:

- Tom z kimś rozmawia, z jakimś dżentelmenem.

Francesca zatrzymała się, przestała oddychać. Obok brata stał lord Holberton. Tom spojrzał na siostrę i jakby trochę się stropił.

- Lordzie Holberton, chciałem przedstawić panu moje siostry.

Francesce serce waliło jak oszalałe, zrobiło się jej gorąco na wspomnienie tamtej nocy, kiedy leżała obok Jacka na jego kaftanie. Tak dobrze pamiętała pocałunki... dotknięcie dłoni...

Dziewczynki tymczasem wpatrywały się ciekawie w obcego pana.

Francesca miała ochotę odwrócić się i uciec. Nie, nie jest przecież tchórzem. Głęboko odetchnęła, wyprostowała się. Była gotowa na spotkanie z lordem Holbertonem.

- Panna Francesca Linden, panna Lidia Linden i panna Sophy Linden. Anna została w domu z matką.

Lord Holberton uchylił cylindra i skłonił się.

- Miło mi panią poznać, panno Linden - przemówił z rewerencją, jakby widzieli się po raz pierwszy.

- Mnie również, sir - odpowiedziała z pałającymi policzkami.

Na szczęście głos brzmiał normalnie.

- Panno Lidio, panno Sophy. - Jack ukłonił się ponownie.

- Milordzie. - Pannice nie przestawały się wpatrywać w eleganckiego pana. Niewielu spotykały mężczyzn, a już żaden nie był na pewno tak wytworny. Jego Lordowska Mość nosił piękny ciemnobłękitny kaftan z najdelikatniejszej welenki i lśniące sztylpy z miękkiej skóry, a takiego zachwycającego fontazia nigdy jeszcze nie widziały. Włosy potargał mu grudniowy wiatr.

Francesca była zła na siebie. Reagowała niewiele lepiej od swoich smarkatych siostr! Zjeżyła się, nachmurzyła.

- Zrobiło się późno. Musimy już iść, jeśli mamy zdążyć na prom.

- Ja też płynę promem - oznajmił z uśmiechem Jack Holberton.

Otworzyła szeroko oczy, serce się rozszalało, ale zauważyła uprzejmie:

- Doprawdy?

Kąciki ust lekko mu drgnęły.

- Doprawdy.

- Flete położone jest w przeciwnym kierunku. - Poniewczasie ugryzła się w język, ale nie mogła już cofnąć słów.

- Ma pani rację, panno Linden, ale nie jadę do Flete.

- Najwyraźniej. - Zauważyła dziwną minę Sophy i postanowiła być miłsza. - Kupił pan coś na kiermaszu, milordzie?

- Chciałem kupić kilka prezentów pod choinkę. - Wbrew temu, co mówił, nie miał żadnych paczek przy sobie. Francesca nie widziała też żadnego służącego, który niósłby zakupy. Spojrzał na jej wypełniony koszyk. - Pani miała więcej szczęścia. Proszę pozwolić, panno Linden. - Wyciągnął rękę, czekając, że odda mu koszyk.

- Dziękuję, milordzie. Nie jest ciężki.

- Niemniej jako dżentelmen... - Zacisnął palce na pałaku koszyka tuż obok jej dłoni.

- Dziękuję - powtórzyła. - Mogę nieść koszyk sama. - Jednak lord Holberton nie puszczał pałaka. - Milordzie. - Spojrzała mu w twarz.

Był rozbawiony, w oczach wesołe iskierki, cień uśmiechu na ustach... Nie spieszył się ani trochę.

W końcu, kiedy pomyślała, że gotów tak stać cały dzień z dłonią na pałaku, ustąpił.

- Jak pani sobie życzy, panno Linden. - Cofnął rękę.

Francesca wygrała, ale nie sprawiło jej to żadnej satysfakcji. Miała wrażenie, że zachowała się nierozsądnie, zamiast okazać wdzięczność. Siostry patrzyły na nią ze zdziwieniem.

- Spóźnimy się na prom, jeśli zaraz nie pójdziemy - powiedział Tom, popatrując to na naburmuszoną siostrę, to na Jacka.

- Ruszajmy - Francesca przygryzła wargę i poszła przodem z siostrami.

Nigdy w życiu tak się nie zachowywała. Głęboko odetchnęła, próbowała się uspokoić. To wszystko wina lorda Holbertona, ma się rozumieć.

Doskonale jednak wiedziała, że to nieprawda. To jej wina i tylko jej. Nie wiedziała, dlaczego Jack Holberton wywołuje w niej takie reakcje.

Przeprawa przez ujście rzeki trwała zaledwie dziesięć minut, ale Francesca miała wrażenie, że czas ciągnie się w nieskończoność. Jack rozmawiał z Tomem, ona się tylko przysłuchiwała, a dziewczynki dosłownie chłoneły każde słowo wytwornego pana. Buckleyowie zostali zatrzymani i siedzieli w areszcie, oczekując procesu. Prawdopodobnie czekało ich zesłanie do kolonii, choć nie było żadnych dowodów, że wiedzieli o przekazywaniu tajemnic państwowych Francuzom.

Kiedy zeszli z promu w Portlemouth, lord Holberton wskazał czekający nieopodal elegancki powóz.

- Z radością odwiozę was do domu.

Sophy i Lidia pisnęły ucieszone, szczerząc do siebie zęby. Od dawna nie jechały powozem, a już nigdy takim wystawnym.

- To bardzo miłe z pana strony, milordzie, ale nie chcielibyśmy pana fatygować.

- Żadna fatyga - stwierdził tym swoim zblazowanym tonem. - Nalegam. Do Lannacombe daleka droga.

- Wszystkiego trzy mile.

- To pana powóz? - chciała wiedzieć Sophy, ale Lidia pociągnęła ją za rękaw.

- Powóz z czwórką koni, obszerny, wygodny, na resorach.

- Och! - Sophy rozdziawiła buzię w podziwieniu dla takich luksusów.

Chciał po prostu zobaczyć się z Tomem, mówiła sobie Francesca, ale serce dalej biło jak oszalałe. Spadły pierwsze krople deszczu, po chwili rozpadało się na dobre. Pasażerowie, którzy przyплыnęli z Salcombe, uciekali przed ulewą. Prom ruszył w drogę powrotną.

- Wspomniałem, że w moim powozie będzie sucho? - zapytał Holberton.

Padało coraz gorzej, deszcz z każdą chwilą przybierał na sile.

- Dziękujemy, milordzie. Skorzystamy z pana zaproszenia - oświadczyła Francesca z całą godnością, na jaką było ją stać.

Podeszli do powozu. Lord Holberton i Tom usiedli na jednej ławce, panny na drugiej. Jack od czasu do czasu spoglądał na Francescę.

Nie, Tom nie miał racji. Lord Holberton wcale nie zapomniał o nich i o nocy spędzonej na „Swifcie”.

Dziewczynki były zachwycone, że mogły się przejechać paradnym powozem. Ulewa skończyła się wkrótce, przez szare chmury przedarło się słońce, na niebie pojawiła się tęcza. To popołudnie miało w sobie coś niezwykłego: pachnące zimą powietrze, ożywione i hałaśliwe ptactwo, ostatnie jesienne liście gamą barw upiększające świat... Podróż minęła nie wiadomo kiedy i powóz zatrzymał się przed niewielką chatą w Lannacombe.

- A to mama i Anna dopiero się zdziwią! - zawołała Lidia.

- Nie uwierzą własnym oczom - dodała Sophy.

Francesca ostatnia wysiadła z powozu.

- Dziękujemy, milordzie. - Wstyd jej było za wcześniejsze zachowanie i nie bardzo wiedziała, co mogłaby powiedzieć. Dopiero teraz zobaczyła, że Jack ma brązowe oczy, nie czarne, jak się wydawało wcześniej. Przez chwilę patrzyli na siebie i Francesca miała to samo odczucie porozumienia, tajemnej więzi, którego doświadczyła tamtej nocy na „Swifcie”. Kilka sekund, które wydawały się wiecznością.

Odezwała się Lidia i czar przysł.

- Francesco, zaprosmy Jego Lordowską Mość na herbatę. Mama i Anna ucieszą się z wizyty.

Jack spojrzął na Francescę.

- Oczywiście. - Cóż innego mogła powiedzieć? - Jeśli tylko lord Holberton przyjmie zaproszenie.

- Z największą rozkoszą, madame.

Niezwykłe uprzejmie przywitał się z panią Linden i najstarszą po Francesce Anną. Od razu rzuciła mu się w oczy wymizerowana twarz pani domu i chorobliwe wypieki na policzkach.

- Witamy serdecznie w naszym domu, milordzie. Córka zaraz poda herbatę. - Pani Linden zanosła się długim, męczącym kaszlem.

Jackowi ścisnęło się serce, tym mocniej, że zobaczył zatroskanie Franceski.

- Dziękuję - skłonił się lekko.

Francesca zniknęła w kuchni, a on przysiadł na wskazanym fotelu. Pani Linden usiadła koło kominka, trzy panny usadowiły się na sofie pod oknem, a Tom stał oparty o framugę drzwi. Jackowi wystarczyło jedno spojrzenie, by odnotować wszystko: wilgoć na ścianach, przetarte chodniki, nędzne meble, świąteczną dekorację z gałązek świerkowych i jemioly, na środku stołu kompozycję z szyszek...

Ot, smutny wysiłek, by zamaskować biedę. Fotel był tak zapadnięty, że Jack przysiadł ostrożnie na jego brzegu, w obawie że sprężyny wydadzą ostatni jęk i staruszek rozpadnie się pod jego ciężarem. Na kominku płonął skromny ogień, niedający wiele ciepła. Nic dziwnego, że pani Linden zapadła na zdrowiu.

Sophy i Lidia miały wypieki na twarzy, wytworny pan nie przestawał ich fascynować, ale nie śmiały się odezwać. Anna zajęła się robótką i coś pracowicie haftowała.

- Jedzie pan do domu świętować Boże Narodzenie? - zapytała pani Linden.

- Tak. Majątek mojego ojca znajduje się niedaleko stąd. Cała rodzina co roku zjeżdża do Flete na święta.

- Rodzice zapewne bardzo się ucieszą na pana widok.

Wróciła Francesca z herbatą. Jackowi pierwszemu podała filiżankę. Potem podsunęła filiżanki po kolei matce, Tomowi, dziewczynkom i na końcu naląła sobie.

- Ojciec w dzień po świętach wydaje wielki bal w Holberton House.

Zaproszenia zostały już rozesłane, a skoro jestem u państwa, nie od rzeczy będzie wspomnieć o tym dorocznym wydarzeniu. Zapraszam całą waszą rodzinę.

Na te słowa zwróciło się ku niemu sześć zdumionych twarzy.

- Wszystkich nas pan zaprasza? - upewniła się na wszelki wypadek Sophy.

- Tak jest, całą rodzinę. - Jack zaśmiał się. - Ojciec wie dobrze, jak bardzo

Tom się zasłużył przy ujęciu złoczyńców - dodał tytułem wyjaśnienia, acz nie dlatego zwrócił się do ojca, by zaprosił Lindenów.

Tom uśmiechnął się szeroko.

- Bardzo miło z pana strony - podziękowała pani Linden, dumna i szczęśliwa, że jej rodzinę spotkało takie wyróżnienie. - Z rozkoszą przyjmujemy zaproszenie.

Francesca nic nie powiedziała. Jack skończył herbatę pośród ożywionej rozmowy o balu i ekskuzował się:

- Proszę wybaczyć, ale późno już. Może panna Linden będzie tak dobra i zechce odprowadzić mnie do powozu?

- Oczywiście.

Lindenowie nie mieli służącej, więc Francesca podała Jackowi rękawiczki i cylinder, po czym uczyniła zadość jego prośbie i ruszyła z nim do powozu.

Dzień się kończył, zapadał zmrok, powietrze stawało się coraz mroźniejsze.

- Bezpiecznej drogi. - Otuliła się szczelniej szalem.

W nagich gałęziach drzew grał wiatr, unosił z ziemi uparte jesienne liście. Jack kątem oka widział, że pannice obserwują ich z nosami przyklepionymi do szyby. Zatrzymał się przy furtce.

- Doszłaś do siebie po przygodzie na „Swifcie”? - zapytał zniżonym głosem.

- Tak, dziękuję, milordzie.

- Mam na imię Jack.

- Pamiętam. - Zaczerwieniła się na wspomnienie tamtej burzliwej nocy.

- Nie kusi cię już do składania wizyt w porcie? - Uśmiechnął się kpiąco.

- O nie. - Też się uśmiechnęła. - Powinieneś był mnie uprzedzić, że Tom pracuje dla ciebie. Powiedzieć mi, jakie masz plany...

- Uwierzyłybyś? - Uniósł wymownie brwi. - Byłaś przekonana, że cię uprowadziłem.

- To co innego. - Zakłopotana odwróciła na moment wzrok, ale szybko się opanowała. - Skoro mam okazję, muszę powiedzieć, że bardzo mi się nie podoba twoje postępowanie. Niepotrzebnie wciągnąłeś Toma w całą tę awanturę.

- Twój brat wspaniale się nadawał do tego zadania. Jest rybakiem, chłopcem z Lannacombe, więc z łatwością mógł przeniknąć do bandy Buckleya i przekazywać mi informacje.

- Zadanie może rzeczywiście nie było trudne, ale bardzo niebezpieczne. - Zamilkła na moment. - Po co zabierałeś go na „Swifta”? Wiedziałaś wszystko, co chciałaś wiedzieć. - Mówiła bez gniewu, jakby chciała do końca zrozumieć, co tak naprawdę wydarzyło się na kutrze.

- Tom pływał regularnie na „Swifcie”. Gdyby nie pojawił się tamtej nocy, Buckleyowie mogliby zacząć coś podejrzewać. White już wystarczająco się zaniepokoił, że stary Buckley gdzieś zniknął.

- Zapewne na twoje polecenie?

- W istocie.

Milczeli przez chwilę, po czym Francesca uniosła gwałtownie głowę, uderzona pewną myślą.

- Nasze spotkanie w Salcombe było zupełnie przypadkowe, czy tak? Nie zamierzasz chyba angażować mojego brata do swojego kolejnego... zadania?

- Nie, nie zamierzam - odparł z uśmiechem. - Twój brat będzie bezpieczny, obiecuję. - Tom powiedział mu, że wybiera się z siostrami na świąteczny kiermasz i Jack czekał cierpliwie, kiedy Francesca wreszcie się pojawi, ale tego już jej nie zdradził.

Odpowiedziała mu uśmiechem, stwierdziła jednak:

- Nie wiem, czy po tej twojej obietnicy mogę spać spokojnie.

Jack pomyślał, że jest zupełnie inna niż wszystkie znane mu kobiety, zauważył to już tamtej nocy na kutrze. Cieszył się, że zdecydował się jednak czekać na nią w Salcombe.

- Zapewnienia składane w czas Bożego Narodzenia są jak prezenty. Należy ich dotrzymywać. Życzę ci wszystkiego najlepszego. Radosnych świąt, panno Linden.

- Wzajemnie, lordzie Holberton.

Uklonił się i ruszył do powozu.

Patrzył na nią, dopóki nie zniknęła mu z oczu, ale nawet wtedy uwoził z sobą obraz dziewczyny stojącej w szarym świetle zmierzchu na ścieżce ogrodowej.

Tej nocy nie mogła usnąć. Leżała w ciemnościach z otwartymi oczami i słuchała cichych pochrapywań siostr. W głowie kłębiły się myśli, nie dając wytchnienia. Nie знаła prawie lorda Holbertona, on nie znał jej... Pamiętała, jak zabiło jej serce, kiedy dojrzała go na kiermaszu, ten dreszcz podniecenia na jego widok. Musiała przyznać, że nie był jej obojętny. W obecności Jacka traciła głowę, zaczynała zachowywać się dziwnie, stawała się śmieszna. Sam przecież przyznał, że jest kobieciarzem, opojem i hazardzistą. Ten pozbawiony honoru człowiek był niebezpieczny.

Doskonale pamiętała, jak odgrywał swoją rolę przed White'em, jak mierzył pojmaną „dziewkę” pożądliwym, bezczelnym spojrzeniem. I jego głos... pełen arogancji, lekceważenia dla innych. Bardzo przekonująco grał cynicznego światowca. I nic dziwnego, skoro był zepsuty do szpiku kości. Nie raz i, nie dwa słyszała opowieści o takich nicponiach.

A jednak, jak na ironię, jeden z tych nicponi uratował jej cnotę, życie bodaj. Gdyby nie Jack... Nie mogła zapomnieć cierpienia i udreki, które widziała w jego ciemnych oczach. Jeden honorowy czyn może zmyć wszystkie grzechy z człowieka, tak powiedziała. A czyż Jack nie dokonał kilku honorowych czynów? Doprowadził

do zatrzymania zdrajcy, rozbił bandę przemytników terroryzującą południowe wybrzeże Devonu, wreszcie uratował ją i Toma.

Musi wytłumaczyć mamie, że powinni zrezygnować z zaproszenia. Tak właśnie należałoby postąpić, zważywszy na to, że Jack stawał się powoli jej obsesją. Na samą myśl o nim przebiegał ją dreszcz, bardzo niestosowny w przypadku niewinnej panny. Jednak mama i dziewczynki tak się cieszyły na bal, prawdziwy wielki bal z muzyką i tańcami. Musiała przyznać, że i ona czekała niecierpliwie na ten wieczór. To nic, że znowu spotka lorda Holbertona. Nie była przecież gąską, potrafi się zachować w jego obecności. Poza tym będzie tylu gości, że lord Holberton pewnie nawet nie zauważy jej w tłumie. Och, wcale jej ta myśl nie pocieszyła!

- Boże - jęknęła. - Co się ze mną dzieje?

Miała kompletny chaos w głowie. Westchnęła, wstała z łóżka, zarzuciła szal na ramiona i podeszła do okna. Rozchyliła kotary i spojrzała na bezchmurne, srebrzące się w poświacie księżycy, usiane gwiazdami niebo. Wysoko, na wprost, jedna gwiazda jaśniała bardziej niż inne. Francesca położyła palec na szybie, jakby chciała jej dotknąć. Wigilia... Pomyślała o wszystkich dotychczasowych Wigiliach, o drogim papie, który odszedł. O biednej mamie. O Tomie i siostrach. I Jacku Holbertonie. Nie mogła uwolnić się od uczucia, że te święta zmienią wszystko.

- Francesco? - usłyszała szept matki. - Co się dzieje?

Odeszła od okna.

- Nic, mamó. Śpij spokojnie.

Matka odwróciła się na drugi bok. Francesca wróciła do łóżka i wreszcie zasnęła.

W dzień po świętach powóz podesłany przez Jego Lordowską Mość zatrzymał się na podjeździe Holberton House i cała szóstka Lindenów wstrzymała oddech w podziw. Rezydencja była nad wyraz okazała, wzniesiona z kamienia

portlandzkiego. Francesca po raz kolejny uświadamiała sobie, w jak innym świecie żyje lord Holberton.

Wysiedli z powozu. Sophy szeroko otworzyła oczy. Nigdy jeszcze nie widziała takiego wspaniałego domu.

- Lord Holberton naprawdę tutaj mieszka? - zapytała z niedowierzaniem.
- To rezydencja jego ojca, markiza Flete'a - wyjaśnił Tom.
- Niesamowita - sapnęła Lidia.

Jeśli dom z zewnątrz wydał się Lindenom wspaniały, wewnątrz zupełnie ich oszłomiły. Wszędzie lustra, mnóstwo złotych, piękne meble, ciężkie brokaty. Na sklepieniu w sieni kłębiły się amorki baraszkujące w niebieskich przestworzach.

- Dziewczynki, Tom, idziemy - ponagliła zagapioną rodzinę pani Linden pewnym, dźwięcznym głosem. Zdawać się mogło, że przypomniała sobie dawne czasy, odzyskała pańskie wzięcie.

Francesca i Tom szli kilka kroków z tyłu.

- Niech mnie diabli porwą - sarknął brat.
- Uspokój się - zbeształa go siostra.
- Pomyśleć, że ludzie żyją w takim zbytku.

No cóż... Mogła tylko zamilczeć tę gorzką uwagę.

Lokaj wskazał im pokoje. Pani Linden dostała piękną sypialnię utrzymaną w białej tonacji. Sophy i Lidia zóły pokój, pokój Toma miał wystrój w brązach stosownych dla mężczyzny. Kremowo-różowy pokój Franceski i Anny znajdował się na samym końcu korytarza. Ściany wyklejone były ślicznymi tapetami w kwiatowy deseń. Na podłodze leżały kremowo-różowe dywany.

Panny miały do swojej dyspozycji imponujące dębowe łóżka z baldachimem, przykryte kapą w kolorze kości słoniowej i przystrojone poduszkami haftowanymi, a jakże, w różyczki. Przez wielkie okna wpadało zimowe światło, odbijające się refleksami w kryształowych kinkietach. Na kominku z białego marmuru buzował ogień. Francesca nigdy nie widziała równie pięknego wnętrza. Z korytarza

dochodziły odgłosy kroków i ożywione głosy. To goście zajmowali wyznaczone im pokoje.

Rozległo się pukanie do drzwi i lokajczyk wniósł torby podręczne; jakże nędznie wyglądały wśród otaczającego panny przepychu. Anna usiadła na łóżku, próbując materace, a Francesca w niewielkim różowym foteliku. Całą rodzinę czekała noc wypełniona zabawą, ale najstarsza z panien Linden miała myśli zajęte czymś innym, na pewno nie kolacją czy balem.

Punktualnie o dziewiątej stanęła w sali balowej u boku Toma. Pani Linden z trzema młodszymi dziewczynkami usiadła w pobliżu. Rodzinę Lindenów przywitał markiz, ale poza tym z nikim nie zamienili słowa, nikt też nie prosił dziewczynek do tańca. Kilku fireyków, którym Francesca miała ochotę natrzeć uszu, obrzuciło je tylko zdziwionymi spojrzeniami. Lorda Holbertona nie było nigdzie widać. Nie zasiadł z gośćmi do kolacji, nie pojawił się w sali balowej. Właściwie powinna być zadowolona...

- I my byśmy tak żyli, Francesco, gdyby papa nie był się pokłócił z dziadkiem.

- Tom obrzucił spojrzeniem salę.

- Nie ma o czym mówić. Żyjemy, jak żyjemy. Papa zawsze robił, co w jego mocy, żebyśmy byli szczęśliwi.

- Skazał nas na najgorszą biedę. Oto co leżało w jego mocy.

- Papa nie żyje. Tom, jak możesz wyrażać się o nim z taką goryczą?

- Prawdę mówię.

- Nie wiemy, dlaczego papa poróżnił się z rodziną. Na pewno nie było mu łatwo zerwać więzi. Nie nam go osądzać.

Nie wydawał się przekonany, ale nie ciągnął tematu. Stali z boku i obserwowali tańczących.

- Nie ma go tutaj - stwierdził Tom.

- Kogo masz na myśli?

- Lorda Holbertona.

- Nie zwróciłam uwagi.
- Nie kłam. Rozglądasz się za nim od chwili, gdy przyjechaliśmy.
- Skądże - zaprzeczyła tonem urażonej niewinności.
- Uważaj, Francesco. On z pewnością nie myśli o małżeństwie. Tacy jak Holberton nie koligają się z ludźmi nam podobnymi.

Na jej twarzy odmalowało się zdumienie.

- Co za bzdury wygadujesz, Tom?

- Nie jestem, ślepy, siostrze. Widzę, jak na ciebie patrzy. Jedno mu tylko w głowie.

- Tom! - Francesca oblała się rumieńcem.

- Mam milczeć i patrzeć, jak rujnuje ci życie?

- Nie mam i nie chcę mieć nic wspólnego z lordem Holbertonem. Za kogo ty mnie bierzesz? Za jakąś służkę, z którą można zabawić się na sianie? - Była tak wzburzona, że ledwie mogła mówić.

- Fran, tylko cię ostrzegam, jakim człowiekiem jest lord Holberton, kiedy przychodzi do kobiet.

- Doceniam twoją troskę, ale niepotrzebnie się martwisz. Nie mam najmniejszego zamiaru... - Przerwała gwałtownie. Kilka dam stojących w pobliżu, które od dłuższej chwili przysłuchiwały się wymianie zdań między rodzeństwem, zaczęło chichotać i pokazywać ich sobie palcami. - Dokończymy tę rozmowę kiedy indziej.

Ich biedne, niemodne stroje budziły pogardliwe uśmieшки i boleśnie wyróżniały pośród innych gości.

- Widzisz, jak na nas patrzą? - syknął Tom. - Nie należymy do tego świata. Nie powinniśmy byli tu przyjeżdżać.

Musiała mu przyznać rację.

Jack dostrzegł Francescę, gdy tylko wszedł do sali balowej. Stała w rogu razem z bratem. Miała na sobie zieloną suknię, której kolor ładnie uwydatniał delikatną, jasną karnację. Miodowoblond włosy ułożyła na sposób klasyczny, upinając anglezy wysoko z tyłu, z kilkoma lokami po bokach.

Poczuł radosne ożywienie na jej widok. Wrócił właśnie z dwudniowej podróży. Pojechał do Salisbury i wyprawa nad wyraz się opłacała, bo załatwił znacznie więcej, niż się spodziewał.

Przeciskał się przez tłum, odpowiadając na pozdrowienia i unikając znajomych, którzy mogliby go zatrzymać na dłuższą chwilę. Chciał rozmawiać z Francescą.

Dojrzał na jej twarzy przez jeden króciutki moment gniew i urazę. Tom i Francesca najwyraźniej się sprzeczali, jeszcze go nie dostrzegli. Nagle Francesca zamilkła, spojrzała na stojące opodal damy. Poszedł za jej wzrokiem i zobaczył wzgardę na twarzach szepczących między sobą pań, usłyszał stłumione śmiechy.

Wezbrał w nim zimny gniew. Zatrzymał się na chwilę, powiedział kilka słów, po czym podszedł do Franceski i Toma.

- Ach, Linden - przywitał się głośno, tak by wszyscy wokół słyszeli. - Dobrze cię znowu widzieć. - Uścisnął mocno dłoń zaskoczonego Toma i uklonił się Francesce. - Pani unizony sługa, panno Linden. Jak miło panią widzieć. Proszę wybaczyć, że pojawiaam się dopiero teraz. Byłem w Salisbury u mojego starego przyjaciela i dopiero co wróciłem.

Odszukał wzrokiem Sebastiana Chortlewate'a i przywołał go dyskretnym gestem. Chortlewate obejrzał się dla pewności, czy aby na pewno o niego chodzi, i podszedł skwapliwie. Jack mógł być sobie hultajem i nicponiem, ale byli ludzie, z którymi się liczył, a Chortlewate do nich należał.

Przywitał go przyjacielskim uśmiechem. Chortlewate odwzajemnił uśmiech, nie mogąc przy tym ukryć ciekawości, jaką to sprawę ma do niego Holberton.

- Chciałem ci przedstawić Toma Lindena. - Gdy Tom spłoszył się jak zajęc, dodał: - Pan Linden jest moim dobrym przyjacielem.

Chortlewate pobladł.

- Wybacz, Holberton, nie wiedziałem. - Uścisnął dłoń Toma. - Jak się pan ma, panie Linden.

- Zajmij się nim, proszę, przedstaw, komu trzeba.

Chortlewate bez słowa zastosował się do prośby, a Jack obrócił się ku Francesce.

- Panno Linden. - Skłonił się ponownie, czując na sobie baczną wzrok chichoczących jeszcze przed chwilą dam.

- Lordzie Holberton - przywitała go gładko.

- Zatańczymy?

Zawahała się. Już myślał, że mu odmówi, ale uśmiechnęła się uprzejmie i pozwoliła zaprowadzić na parkiet.

Gdy orkiestra zaczęła grać, Jack ujął dłoń Franceski.

- Dziękuję - powiedziała.

- Za co?

- Za to, że pomyślałeś o przedstawieniu Toma swoim znajomym.

- Po to właśnie są bale, żeby poznać parę osób i tańczyć. Wszyscy tańczą. - Poszła za jego wzrokiem i zobaczyła swoje siostry na parkiecie. Nawet mała Sophy znalazła partnera. Panią Linden zabawiała rozmową sama lady Flete. Wszystko to była zasługa Jacka. Damy przestały chichotać i szeptać, tylko stały sztywno i patrzyły z zazdrością na Francescę.

A ona uśmiechnęła się. Jack też się uśmiechał. Spojrzeli sobie w oczy, napawając się sukcesem.

Wieczór minął jak jedno mgnienie. Po obfitym śniadaniu i spacerze w ogrodach Holberton Lindenowie odjechali do domu. Francesca przez całą drogę

czuła się cudowne podniecenie. Bal. Poranny spacer. Niby nic to nie miało wspólnego z lordem Holbertonem, a jednak uśmiechała się do siebie.

Następnego dnia po lunchu do kuchni, gdzie myła naczynia, wszedł Tom. Na świecie było szaro, nijako i bardzo zimno. Przynajmniej woda w misce była ciepła. Francesca szorowała zaciekle rondel, nucąc coś pod nosem.

Tom zamknął starannie drzwi, co nie wróżyło nic dobrego.

- Stało się coś? - zapytała zdjęta niepokojem i wytarła dłonie w fartuch.

- Lord Holberton jest tutaj... - Tom zamilkł. Nie musiał nic mówić, mogła wyczytać wszystko z jego twarzy. - Mama prosi, żebyś podała herbatę.

Francesce mocniej zabiło serce, ale nie dała nic po sobie poznać.

- Polubił cię - powiedziała, wieszając kociołek z wodą nad paleniskiem.

- Być może, ale nie do mnie przyjechał. Na balu trzy razy prosił cię do tańca.

- Tańczył też z Anną, Lidią, Sophy.

- Z każdą tylko raz.

- Przedstawił cię swoim znajomym, Tom. Zrobił wszystko, żebyśmy zostali zaakceptowani. Gdyby nie on, wieczór skończyłby się katastrofą.

Wzruszył ramionami.

- W czasie spaceru po ogrodach nie odstępował cię na krok.

- Był gospodarzem. Jak inaczej miał się zachować?

Wymienili spojrzenia i Francesca już w milczeniu skończyła przygotowywać herbatę, po czym zdjęła fartuch, przewiesiła go przez oparcie krzesła i poprawiła włosy. Kilka kosmyków wymknęło się z węzła na karku. Drżącymi palcami zagarnęła je na swoje miejsce.

- Chodźmy do bawialni.

- Jestem pewna, że się mylisz, Tom, jeśli jednak przypadkiem masz rację, to zapewniam cię, że lord Holberton traci tylko czas. - Wzięła tacę z herbatą i ruszyła ku drzwiom.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lord Holberton grzał się przy kominku. Przyjechał do Lannacombe lekką dwukółką zaprzęzoną w jednego konika. Przywiózł z sobą ciasto korzenne, które teraz stało na stole.

- Jesteś, Francesco. - Matka uśmiechnęła się. - Mamy herbatę i biszkopty.

Poczęstuje się pan, milordzie?

- Dziękuję, z przyjemnością.

Pani Linden napełniła filiżankę.

- Bal był wspaniały. Prawda, dziewczynki?

Anna, Lidia i Sophy, które jak poprzednio zasiadły w rzędku na kanapie, odparły zgodnym chórem:

- Wspaniały, mamusiu.

Francesca nie dołączyła się do zachwyków. Lord Holberton upił łyk herbaty i zwrócił się do niej:

- A pani dobrze się bawiła, panno Linden?

Może jednak Tom miał rację, może Holberton traktuje ją jak zabawkę?

Miała ochotę powiedzieć, że owszem, bawiła się znośnie, tymczasem wieczór był jednym wielkim koszmarem, dopóki Jack się nie pojawił. A potem...? Potem cudownie było być w jego towarzystwie.

- Tak jak powiedziały moje siostry, bal był wspaniały.

Dla Jacka było jasne, że zbywa go gładką odpowiedzią. W oczach zabłysły mu wesołe iskierki, jakby znajdował Francescę zabawną osobą.

Jack zabawił w Lannacombe do zmierzchu.

- Tak szaro, ciemno, a nie ma jeszcze trzeciej - westchnęła pani Linden.

Francesca zapaliła świece, zebrała filiżanki po herbacie i talerzyki deserowe. Spojrzała za okno.

- O Boże! - Znieruchomiała zapatrzona w widok, który tak ją zaskoczył. - Nic takiego, mamie - uspokoiła ją zaraz. - Siedź spokojnie. Po prostu pada śnieg. Sypie nie na żarty.

- Śnieg! - Sophy zeskoczyła z kanapy i podbiegła do okna. - Fran ma rację! - zawołała rozentuzjasmowana. - Zrobiło się zupełnie białe.

- Niech i ja zobaczę. - Lidia stanęła obok siostry. - Jak cudnie!

- Być może lord Holberton powinien już jechać, dopóki jeszcze można - powiedziała Francesca.

Jack podniósł się z fotela.

- Ja podam panu płaszcz i w ogóle - zaofiarowała się Anna.

- Śnieży tak, że lord Holberton może nie dojechać do domu - wymądrzała się mała Sophy.

- Na pewno dojedzie - uspokoiła ją szybko Francesca.

Nie było to wcale takie pewne, jak się jej wydawało. Cała rodzina Lindenów obserwowała, jak Jack z trudem brnie w śniegu. Zapadał się do pół łydki w biały puch. Sypało tak, że widział ledwie na trzy stopy przed sobą. Białe płatki osiadały na rzęsach, na policzkach. Prawdziwa zawieja. Nie mógł nawet marzyć o odnalezieniu drogi pod śnieżnym dywanem, który przykrył trakt, kamienie milowe, łąki i skały. Nie zapowiadało się, że przestanie padać. Tylko głupiec ruszałby w taką pogodę w drogę.

- Musi pan u nas zostać, milordzie - stwierdziła pani Linden. - Nie chcę nawet słyszeć, że miałby pan jechać teraz do domu.

- Mamie, wracaj natychmiast do bawialni. - Francesca zdjęła szal i zarzuciła matce na ramiona. - Za zimno dla ciebie. - Lord Holberton nie może...

- Lord Holberton zostanie z nami, dopóki pogoda się nie zmieni - uspokoiła ją, a potem spojrzała na stojącego w śniegu Jacka. - Prawda, milordzie?

- Dziękuję, pani Linden. Rzeczywiście wolałbym zaczekać do jutra, jeśli nie zrobię państwu zbyt wielkiego kłopotu.

- Żaden kłopot, milordzie - zapewniła pani Linden i rozkasłała się.

Francesca zaprowadziła matkę do bawialni i posadziła koło kominka.

Trzasnęły drzwi frontowe, ale Jack się nie pojawił. Francesca spojrzała pytająco na siostry, które właśnie weszły do pokoju.

Sophy pociągnęła nosem i otarła go wierzchem dłoni.

- Jack poszedł po swojego konia. Powiedział, że zaraz wróci.

- Sophy, weź chusteczkę. I dla ciebie to lord Holberton, żaden Jack - zgromiła córkę pani Linden.

- Ale on sam powiedział, że mamy mówić do niego Jack - tłumaczyła się Sophy i wygięła usta w podkówkę.

- To nie oznacza, że masz zapominać o dobrych manierach.

- Gdzie on będzie spał? - zapytała Anna.

- Nie możemy przecież umieścić go w stajni - dodała Lidia.

Sophy zaczęła chichotać.

- Tom odstąpi mu swoje łóżko na jedną noc - powiedziała pani Linden.

Zdania samego Toma na ten temat nikt już nie poznał, bo oto trzasnęły drzwi kuchenne, rozległy się ciężkie kroki i do bawialni wszedł lord Holberton.

- Umieściłem Trojana w waszej stajni, będzie mu tam wygodnie. - Jack zdjął płaszcz.

- Kto ma ochotę na partyjkę wista? - Niczym magik wyjął karty z kieszeni. - Panowie przeciwko paniom? A może to nie fair, bo ja i Tom na pewno wygramy.

- Na pewno nie - obruszyła się Sophy. - Świetnie gramy w wista. Ogramy was, ani się obejrzycie.

Reszta popołudnia upłynęła przy kartach. Wygrały pani Linden i Anna.

Francesca zostawiła rozbawione towarzystwo, wytykające sobie pośród śmiechów rozmaite błędy w rozgrywce, i poszła przygotować kolację.

Dopiero późnym wieczorem Jack miał szansę porozmawiać z Francescą sam na sam. Zmywała właśnie w kuchni naczynia po kolacji, gdy usłyszała, że ktoś

otwiera drzwi. Odwróciła się, myśląc, że to któraś z sióstr, tymczasem zobaczyła Jacka. Zdumiona otworzyła szeroko oczy, ale nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Co tu robisz? Wracaj do bawialni. Przyniosę ci herbatę.

- Wypiłem już tyle herbaty, że starczy mi do końca życia. - Zdjął surdut, odwiesił go na oparcie krzesła i zaczął podwijać rękawy. - Przyszedłem ci pomóc. Wybuchnęła śmiechem.

- Nie wymagamy aż tak wiele od naszych gości, sir. Wróć do bawialni, spokojny, że masz gdzie spać tej śnieżnej nocy.

- Zawsze chciałem zostać pomywaczem.

- Powinieneś się cieszyć, że ominął cię ten smutny los.

Teraz Jack zaśmiał się głośno i stanął za Francescą.

- Tylko fartuch budził moje poważne opory.

- Jaka szkoda. Wiele bym dała, żeby ujrzeć lorda Jacka Holbertona przystrojonego w fartuszek z falbankami.

- Żartownisia! - Stanął tak blisko, że przeszedł ją dreszcz. Zabrała się skwapliwie do mycia kolejnego talerza. - Co mam robić? - dopytywał się gorliwie.

- Wrócić do bawialni, usiąść przy kominku i porozmawiać z moim bratem.

- Znasz już moje skryte marzenie zostania pomywaczem. Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo, Francesco.

- Mama dostanie ataku serca, jak usłyszy, że gość zmywał naczynia.

- Pani Linden nie musi o tym wiedzieć. - Sięgnął po ścierkę.

- Natychmiast ją odłóż! - huknęła.

- Strasznie jesteś władcza, Francesco.

- Proszę wybaczyć, sir. Zechciej łaskawie odłożyć tę ścierkę. Nie znajdzie żadnego użytku w twoich rękach.

- Jednak bardziej mi się podoba tamten władczy ton.

- Jack! - Uśmiechnął się szerzej i zaczął wycierać pierwszy z brzegu talerz. Ona zaś podparła się pod boki i perorowała: - Jacku Holbertonie, jeśli zaraz nie odłożysz tej ścierki i talerza, to...

- To co zamierzasz zrobić?

Westchnęła bezradnie.

- Jesteś najbardziej upartym człowiekiem, jakiego zdarzyło mi się spotkać.

Zabrał się do wycierania następnego talerza.

- Wolę to nazywać determinacją.

- Nic cię nie zmusi, byś wrócił do bawialni?

- Tylko jedna rzecz. - W jego oczach zabłyśły przekorne iskierki. - Chcesz wiedzieć, co takiego?

- Nie chcę.

Odłożył wytarty talerz i spoważniał w jednej chwili.

- Chciałem porozmawiać z tobą sam na sam, Francesco. Czekałem cały długi dzień na taką sposobność.

- A niby o czym chcesz ze mną rozmawiać? - zapytała ostrożnie, nie przestając zmywać statków.

Podszedł do wiszącego na oparciu krzesła surduta, wyjął z kieszeni małe pudełeczko obciążone jedwabem, położył je na dłoni i podsunął Francesce.

- Chciałem dać ci to.

Wpatrywała się przez długą chwilę w pudełeczko. Serce zaczęło bić gwałtownie, poczuła dziwną suchość w gardle. Wytarła ręce w fartuch. Nie spojrzała na Jacka, nie sięgnęła po pudełeczko.

- Francesco? - Podsunął je odrobinę bliżej.

Wreszcie podniosła wzrok.

- Nie chcę prezentów. - W uszach brzmiały jej słowa Toma: „On nie myśli o małżeństwie... Widzę, jak patrzy na ciebie...”. A teraz raptem prezent.

- To prezent pod choinkę. W imię przyjaźni. Nic więcej. - Spojrzał jej w oczy, jakby czytał w jej myślach. - Otwórz. - Sam w końcu otworzył pudełeczko. W środku leżał wisiołek w kształcie stateczku, który oglądała na kiermaszu w Salcombe. - To „Swift” - powiedział Jack, a Francesca wstrzymała oddech. - Zostawiam go tutaj. - Zamknął pudełeczko i położył na stole.

Usłyszeli kroki, ktoś szedł do kuchni. Zanim drzwi się otworzyły, Jack zniknął, wycofując się tylnym wyjściem, a Francesca schowała prezent do kieszeni fartucha.

Wbrew protestom pani Linden, Jack uparł się spać na kanapie. Za nic nie chciał wyganiać Toma z jego łóżka. Ogień na kominku palił się całą noc, pomimo to było mu chłodno pod cienkim pledem.

Myślał o Francesce, o jej ciężkim, wypełnionym obowiązkami życiu. A przecież nie skarżyła się. Jej zdrowy rozsądek i zaradność sprawiały, że damy, które znał, wydawały mu się przy niej żałosne. Była pogodna, bystra, stanowcza, jakby trudy codzienności nie odciskały na niej żadnego piętna.

Wracał myślami do nocy, którą spędzili na „Swifcie”. Bała się, ale potrafiła ukryć lęk. Uśmiechnął się na wspomnienie przedstawienia, które urządzili. Potem, na balu, żartowali z danej na kutrze komedii. Mieli podobne poczucie humoru.

Przypominał sobie, jak przekomarzał się z nią w kuchni. On, który w życiu nie dotknął brudnego talerza, pomagał jej zmywać statki. Ojciec nie dałby wiary. On sam nie mógł uwierzyć. Przyjaciele wyśmialiby go, poradzili, żeby zabawił się z panną i zapomniał o wszystkim. Jeszcze kilka tygodni temu sam powiedziałałaby coś podobnego. Ale Francesca była inna. On też się zmienił. Obrócił się i ciągle myśląc o ślicznej pannie, zasnął wreszcie.

Następnego ranka już nie śnieżyło. Francesca krzątała się w kuchni, przygotowując koszyk z prowiantem, matka grzała się przy palenisku.

- Martwię się o nią, Francesco. Ma już swoje lata, nie powinna mieszkać sama.

- Mamo, pani Beeley nie ustąpi. Ile razy ją prosiłaś, żeby przeniosła się do nas? Zawsze odmawia. Jest zbyt dumna.

- I przez tę dumę któregoś dnia zamarznie na śmierć.

- Widziałam ją kilka dni temu w dobrym zdrowiu. Miała zapas drewna na podpałkę i węgle. Dałam jej dodatkowy koc do okrycia, jak prosiłaś.

- A jednak ciągle się o nią niepokoję. Ta pogoda... Co będzie, jeśli zabraknie jej wody, pójdzie do studni i...

- Nie martw się, mamo. Zaglądam do niej i dbam, żeby zawsze miała pod ręką wszystko, co może być jej potrzebne.

- Trudno teraz brnąć w śniegu. Do jej chaty prawie mila, a Toma ciągle boli kostka.

- Dam sobie radę bez jego pomocy, mamo.

Pani Linden rozkasłała się.

- Nie podoba mi się to. Może Anna powinna pójść z tobą.

- Anna ma dość roboty w domu. - Włożyła pelerynę, wciągnęła wełniane mitenki i sięgnęła po koszyk. - Wrócę przed lunchem.

- Dzień dobry. - W drzwiach pojawił się lord Holberton.

- Napije się pan herbaty, milordzie? - Pani Linden chciała się podnieść ze stołka.

- Dziękuję, droga pani. Proszę się mną nie przejmować. - Spojrzał na Francescę - Pani wychodzi, panno Linden?

- Muszę zanieść trochę jedzenia naszej sąsiadce. - Gdy Jack spojrział na nią jakoś dziwnie, dodała: - Przepraszam, milordzie, że opuszczam pana przed pana wyjazdem.

- Pójdzie pani sama?

- Prosiłam, żeby wzięła z sobą Annę, ale nie chciała nawet o tym słyszeć - poskarżyła się pani Linden.

- Chciałbym pani towarzyszyć, proszę mi pozwolić. Przynajmniej niech tak się odwdzięczę za gościnę.

- Byłabym spokojniejsza, gdyby pan z nią zechciał pójść, milordzie - rzekła zatroskana matka.

Jack rzucił Francesce spojrzenie, które mówiło: „Spróbuj mi tylko odmówić”.
Już się na to gotował...

Uśmiechnęła się słodko.

- Będzie mi bardzo miło, lordzie Holberton.

Poranek był słoneczny, powietrze rześkie.

- Chętnie poniósłbym koszyk, ale wiem, że odmówisz, panno Linden.

- Jeśli masz na myśli Salcombe, to naprawdę nie było powodu, żebym oddawała ci koszyk, milordzie.

- Chciałem być uprzejmy.

- Zaraz powiesz, że ja dla odmiany zachowałam się okropnie.

- Skądże, nic takiego nie miałem na myśli.

Rzuciła mu kose spojrzenie.

- A jednak...

- Czyżby?

- Owszem. Dałeś jasno do zrozumienia, że wykazałeś się dobrymi manierami, ja natomiast ich kompletnym brakiem.

- Może po prostu ogarnęły cię wyrzuty sumienia? - podsunął Jack.

- Nie mam wyrzutów sumienia - skłamała.

- To dobrze. - Parsknął śmiechem.

Francesca też się roześmiała.

- Może zbyt obcesowo odrzuciłam twoją uprzejmą propozycję.

- Sam Herkules nie wyrwałby ci tego koszyka z ręki.

Znowu się zaśmiała.

- Jestem dość silna.

- Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam.
- Zatem przyznajesz, że nie musiałeś mi dzisiaj towarzyszyć.
- Chciałem zażyć świeżego powietrza i rozprostować nogi. Czuję się

bezpieczny w towarzystwie tak silnej osoby.

Pokręciła z uśmiechem głową.

- Skoro mam czuwać nad twoim bezpieczeństwem, nieś już ten koszyk, Jacku Holbertonie.

Wyszczerzył zęby w uśmiechu i wziął koszyk od Franceski.

Zastali panią Beeley w dobrym zdrowiu. Ucieszyła się na widok Franceski i „młodego człowieka”, jak go nazywała, co bardzo bawiło Jacka, Francescę natomiast wprowadzało w zakłopotanie. Zostawili starszej pani prowiant, przynieśli zapas wody ze studni, wypili herbatę i ruszyli w drogę powrotną do domu. Niebo nadal było bezchmurne, śnieg gdzieś już tajał, uparty rudzik wyśpiewywał swoją piosenkę, nie zważając na krakania wron.

Zbliżali się do domu. Mijali właśnie stare pogorzelnisko ze szkieletem spalonej chaty...

- Jack?

Lord Holberton położył palec na ustach i Francescę ogarnął lęk. Coś było nie tak. Ale co? Nagle od ściany spalonej chaty oderwała się jakaś postać i na ścieżce stanął groźnie wyglądający mężczyzna. Francesca wstrzymała oddech. Oto miała przed sobą Edmunda Grosely'ego.

- Holberton, nareszcie. Jak to miło, że towarzyszyłeś panie Linden z wizytą u starej Beeley. - Spojrzał na Francescę. - Twoja siostra udzieliła mi wszelkich informacji, kiedy zapukałem do waszej chaty, szukając mojego drogiego przyjaciela Jacka.

Był u niej w domu, rozmawiał z jej siostrą. Francesce zrobiła się słabo na tę myśl.

- Co tutaj robisz, Grosely?

- Zamiast gnąć w więzieniu, oczekując egzekucji? To chciałeś powiedzieć? Czego się spodziewałeś? Że mój ojciec będzie spokojnie czekał, aż zadyndam na szubienicy? - Uśmiechnął się. - Nie mogliśmy tak zhańbić naszego nazwiska. Podważył twoje oskarżenia. To ty podrzuciłeś dokumenty, wrobiłeś mnie. Tatuś posmarował, gdzie trzeba, i od razu wszyscy przejrzeni na oczy, zrozumieli twój podły plan. Pomyśleć, że potrafiłeś poświęcić przyjaciela dla ratowania własnej skóry. Wstrząsające.

- To ty namówiłeś mnie do przemytu, a nie odwrotnie. Jest wielu świadków, którzy mogą zeznawać przeciwko tobie, Grosely.

- Coś mi się wydaje, że ci twoi świadkowie poznikali. Boże Narodzenie to bardzo niebezpieczny czas. Ludzie biorą udział w bójkach nie tylko w więzieniach, ale i przed eleganckimi klubami dla dżentelmenów. Martwi nie mogą zeznawać.

- Zawsze byłeś draniem - powiedział Jack lodowatym tonem.

- Podobnie jak ty. - Grosely postąpił krok do przodu.

Jack oddał koszyk Francesce i zasłonił ją.

- Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie, Grosely. Co tutaj robisz?

- Myślę, że znasz odpowiedź. - Uśmiechnął się kpiąco. - Przyjechałem cię zabić. Będzie to długa i bolesna śmierć.

Zmartwiała na te słowa.

- Jeśli go zabijesz, stracisz kozła ofiarnego - zauważyła przytomnie.

- Niekoniecznie. Mój ojciec rozpuści wiadomość, że Holberton uciekł na kontynent. Ciągłe się z tobą zabawiać? - zapytał lekko.

Jack pobladł, zacisnął szczęki, w jego oczach pojawił się groźny błysk.

We Francesce Grosely też budził wściekłość i obrzydzenie.

- Jesteś wstrętny. Karykatura człowieka.

- Droga panno Linden, niebawem inaczej będziesz śpiewała, zapewniam.

- To sprawa między nami - odezwał się Jack. - Zostaw dziewczynę w spokoju.

- Wiesz, że nie mogę. Ona zbyt wiele wie. Ona i ten jej braciszek. - Grosely spojrzał na nią przeciągle z nienawistną lubieżnością.

Jack skoczył tak raptownie, tak zręcznie, że Francesca ledwie dostrzegła, kiedy to się stało, i dzielił łajdaka w szczękę. Grosely zachwiał się, zadawało się, że upadnie, ale zdołał utrzymać się na nogach i w rewanżu uderzył Jacka laską w zębra. Ten wytrącił mu laskę z ręki kopniakiem tak potężnym, że zatoczyła wielki łuk w powietrzu i uderzyła o ścianę wypalanej chaty. Grosely ruszył do ataku, ale Jack był szybszy, silniejszy, i po chwili bezlitośnie okładał przeciwnika pięściami. Jednak Grosely bronił się zaciekle. Francesca przyglądała się bezradnie walce, nie wiedząc, jak mogłaby pomóc Jackowi.

Grosely pod gradem ciosów zaczął się cofać ku spalonej chacie. Francesca zacisnęła dłonie, modliła się za Jacka. Bóg chyba wysłuchał jej prośb, bo Grosely nagle zachwiał się i runął bezwładnie na Jacka, szukając oparcia.

Przegrał.

Nie, jednak nie, bo natrafił na laskę. Francesca z przerażeniem zobaczyła, że chwyciła za srebrną gałkę, pociąga... i ukazał się przemyślnie ukryty cienki sztylet.

Krzyknęła ostrzegawczo i niczym furia rzuciła się do zwartych w śmiertelnym uścisku przeciwników, dopadła do Grosely'ego, chwyciła za nadgarstek, pociągnęła z całych sił...

Łotr był silny. Francesca już myślała, że nie da mu rady, a jednak co za cudowna moc w nią wstąpiła! Bo oto zdołała odciągnąć zbrodniczą dłoń i przyprzeć ją do muru. Jack zadał ostatni, potężny cios. Głowa przestępcy opadła bezwładnie, sztylet wysunął się w dłoń i upadł w śnieg.

Grosely osunął się na kolana, a potem upadł twarzą do ziemi. Krew sączyła się z ucha i z rany na potylicy, skleiła jasne włosy. Jack dotknął tętnicy na szyi.

- Francesco? - Stała nieruchomo i wpatrywała się z przerażeniem w trupa. - Spójrz na mnie, Francesco. - Jack obrócił ją ku sobie. Widział, jak bardzo jest wstrząśnięta, zdjeta grozą. Jeszcze nie wierzyła w to, co się stało.

- Nie żyje? - zapytała drżącym głosem.

- Tak, nie żyje.

- Już myślałam, że cię zabije. - Powiedziała to tak cicho, że z trudem łowił słowa.

- Gdyby nie ty, tak by się stało.

- Był bardzo silny...

- Ty okazałaś się silniejsza. - Spojrzała na mur, na miejsce splamione krwią, gdzie uderzyła głowa Grosely'ego. Jack podążył za jej wzrokiem. - Francesco...

Popatrzyła na swoje ręce.

- Jego krew - szepnęła. - Jest wszędzie.

Jack odciągnął ją od ciała. Schylił się, wziął garść śniegu i wytarł jej dłonie. Robił to powoli, metodycznie, delikatnie.

- Już czyste - powiedział w końcu.

Spojrzała na swoje dłonie, jakby należały do kogoś innego. Drżała na całym ciele.

- Francesco... - Ujął te biedne dłonie.

Podniosła wzrok.

- Och, Jack - szepnęła ochryple.

- Jestem przy tobie. - Wziął ją w ramiona i przytulił. - Zawsze będę.

Czuł, jak jej ciałem wstrząsa płacz. Głaskał ją po włosach, po plecach, przemawiał cicho, szeptał kojące słowa, dopóki się nie uspokoiła. A później już tylko trzymał ją w objęciach. Wiedział, że nigdy nie pozwoli jej odejść.

W końcu odsunęła się, spojrzała mu w twarz. Miała zaczerwienione, zapuchnięte od płaczu oczy, brudne policzki, czerwony nos, ale dla Jacka była najpiękniejsza. Piękniejsza niż kiedykolwiek dotąd.

Ujął jej dłoń.

- Musimy wracać do domu, Francesco.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Opanowała się jakoś, zanim dotarli do chaty. Powiedziała matce, że zostali napadnięci w drodze powrotnej i że łotr, który ich zaatakował, zginął. Nie wymieniła jego nazwiska, nie opowiedziała historii zdrady i zemsty. Pojawił się konstabl, zabrano ciało. Nie było mowy, by Jack wrócił tego dnia do domu. Zrobiło się późno, zbyt był też wstrząśnięty.

Wszystko wydawało się toczyć zwykłym trybem, jakby koszmar tak naprawdę się nie zdarzył, ale Francesca pamiętała aż nazbyt dobrze skrwawionego trupa i walkę, która doprowadziła do śmierci Grosely'ego. Leżała w łóżku, a straszne sceny rozgrywały się przed jej oczami ciągle od nowa... ciągle od nowa. Wydawało się jej, że dłużej tego nie zniesie. Pomyślała o Jacku, o tym, jak wycierał śniegiem jej dłonie, jak trzymał ją w objęciach, jak starał się ukoić jej ból, uspokoić przerażenie. Od pierwszej chwili na pokładzie „Swifta” wiedziała, że Jack Holberton jest dobrym człowiekiem. Minęły ledwie dwa tygodnie, a miała wrażenie, że zna go od zawsze.

Matka spała, dziewczynki też, ale Francesca nie mogła zasnąć. Czuła zmęczenie w całym ciele, a w głowie kłębiły się najgorsze myśli. Niewiele brakowało, a Jack by zginął, leżał teraz martwy na śniegu z raną zadaną sztyletem. Serce przeszył jej straszliwy ból. Nie próbowała walczyć z tym bólem, przyjmowała go do końca. Doskonale wiedziała, co on oznacza. Trzeba było śmierci Grosely'ego, by uświadomiła sobie, że kocha Jacka Holbertona.

O szyby dzwonił deszcz. Rano Jack odjedzie, wróci do swej rezydencji.

- Jack - szepnęła. Nie chciała, żeby wyjeżdżał. Długo leżała w ciemnościach, w końcu wstała cichutko z łóżka.

Jack nie spał. Leżał na wąskiej, niewygodnej sofie i myślał o Francesce, o tym, co dla niego znaczy.

Klamka poruszyła się powoli. Ktoś nie chciał go obudzić. Żar z kominka oświetlał pokój przygasającym czerwonym blaskiem.

Zobaczył ją, białą postać w drzwiach. Stała przez chwilę bez ruchu, jakby się zastanawiała, czy wejść.

- Francesca? - Nie mógł uwierzyć, że jest tutaj. Usiadł na kanapie, bał się, że zaraz zniknie. - Nie odchodź. - Zamknęła cicho drzwi i podeszła do niego. - Ty też nie możesz zasnąć? - Podniósł się. - Nic dziwnego, po tym, co dzisiaj przeszliśmy.

- Ciągle go mam przed oczami, jak leży na zakrwawionym śniegu.

- Niełatwo coś takiego zapomnieć.

- Postawią nas przed sądem za zabójstwo?

- Nie, skądże. Ty nie masz nic wspólnego z jego śmiercią, a ja działałem w obronie własnej.

- Przycisnęłam jego rękę do muru. Trzymałam go. - Zadrzała.

- Uratowałam mi życie. - Dotknął jej dłoni. - Usiądźmy, tak będzie wygodniej.

- Podprowadził ją do sofy, gdzie usiedli i okryli się pledem.

Przyglądała się Jackowi przez chwilę, po czym dotknęła sińca na policzku.

- Boli?

- Nie bardzo, wygląda tylko paskudnie.

Dumała o czymś przez chwilę, wreszcie powiedziała:

- Nie jesteś taki, jakim mi się przedstawiałeś, Jacku Holbertonie.

- A jakim ci się przedstawiałem?

- Twierdziłeś, że jesteś człowiekiem, który nie wie, co to honor.

- To prawda.

- Nie - zaprzeczyła żywo. - Z pewnością nie. Masz więcej honoru niż setka innych ludzi razem wziętych.

Zaśmiał się gorzko. Prawda była trudna do zniesienia. Twarz Franceski oświetlał poblask idący od kominka. Dotknął lekko jej policzka.

- Muszę ci coś wyznać - powiedział. - Coś, o czym wiedzą tylko ojciec i mój brat Richard.

- Nie musisz mi nic wyznawać - powiedziała łagodnie.

- A jednak chcę, nawet jeśli potem będziesz patrzyła na mnie z pogardą.

Powinnaś znać prawdę.

Kiwnęła głową.

Jack przymknął oczy. Musiał przemóc tłumiące wszelkie słowa wyrzuty sumienia, a także wstyd i gorycz. Po chwili zaczął mówić:

- To zdarzyło się rok temu w Londynie, tuż przed świętami Bożego Narodzenia. Zostałem wyzwany na pojedynek. Chodziło o kobietę. Ustalono broń, miejsce i czas. Pistolety, Wimbledon Common, dwa dni po wizycie sekundantów tamtego człowieka, świt. Jednak nie stawiłem się na Wimbledon Common o oznaczonej porze, bo leżałem w łóżku pijany, z kobietą. Dodam tylko dla porządku, że nie z tą, o którą miałem się pojedynekować. W takim stanie znalazł mnie Richard. Usiłował postawić mnie na nogi, zawieźć do Wimbledonu. Bez skutku. Powiedziałem mu, że nie dbam ani o swoją reputację, ani o honor rodziny, i każdy w Londynie może mówić, co mu się żywnie podoba na mój temat. Nie zdawałem sobie sprawy, jakie mogą być konsekwencje moich słów. Nawet nie zauważyłem, kiedy Richard wyszedł, zabierając z sobą coś z mojej garderoby. Przebrał się i zamiast mnie stawił w Wimbledon Common, żeby ratować dobre imię Holbertonów. Jesteśmy do siebie podobni, o szarym świecie mógł ujść za mnie. Nikt niczego się nie domyślił, ale Richard został postrzelony w nogę. Mało brakowało, a byłby zginął. Stracił mnóstwo krwi, nim lekarz powstrzymał krwotok, rana źle się goiła. - Jack z trudem wracał do tamtych chwil. - Przeżył, ale od tamtej pory kuleje - dokończył zdławionym głosem.

Położyła dłoń na jego dłoni, próbując go pocieszyć.

- Jack...

Nie zasługiwał na jej współczucie.

- Ja tam powinienem być, nie on.

Zamknęła palce na jego dłoni.

- Nie znałam cię wtedy, ale wiem, jakim człowiekiem jesteś teraz. Dwa razy uratowałeś mi życie. Uratowałeś życie Tomowi i wielu innym, którzy zginęliby z ręki Grosely'ego. Widziałam w twoich oczach żal i cierpienie. - Pocałowała go w policzek. Słodki to był pocałunek. - Jesteś najbardziej honorowym człowiekiem, jakiego znam, Jacku Holbertonie.

Na jego twarzy odmalowało się bezmierne zdumienie. Udręka, ciężar winy, hańba, wszystko, z czym zmagał się od roku, jakby stało się łatwiejsze do zniesienia. Objął Francescę i przytulił. Położyła głowę na jego ramieniu. Siedzieli tak w milczeniu, serce przy sercu, słuchając bębnienia deszczu, tykania zegara i trzasku dogasających polan na kominku.

Francescę ogarnął błogi spokój. Miała uczucie, że całe życie czekała na ten moment. I na tego człowieka. Wszystko było wreszcie tak, jak powinno być.

- Wiesz, że cię kocham, Francesco, prawda? Chcę przeżyć życie razem z tobą.

Skinęła głową, zdumiona, że to takie oczywiste. Tak, w głębi serca wiedziała, że Jack ją kocha, tak jak ona kochała jego.

Zbliżył usta do jej ust... Pocałował ją delikatnie i były w tym pocałunku czułość, oddanie, cała miłość Jacka do niej, tęsknota, pragnienie. Teraz już należeli do siebie na zawsze. Położył jej dłoń na karku. Całował namiętnie, pożądliwie. Czowała bicie jego serca. Stali się jednością, nie potrafiła powiedzieć, gdzie ty, gdzie ja... wszystko się splotło... Oddawała pocałunek z całą miłością, którą czuła do niego. Zanurzała się w tym błogim, przepastnym uczuciu.

- Francesco - szepnął i położył dłoń na jej piersi.

Przytuliła się mocniej do niego. Zaczął obsypywać pocałunkami jej twarz, szyję. Odrzuciła głowę do tyłu. Oddawała mu się bez zastrzeżeń, bez zahamowań. Zsunął koszulę nocną z jej ramion i zobaczył wisiołek, który podarował jej rano. Maleńki, srebrny „Swift”.

Spojrzał jej w oczy. Na całym bożym świecie było tylko ich dwoje: Francesca i Jack. Dwoje ludzi połączonych miłością.

Zdjął z niej koszulę i rzucił na podłogę.

- Jesteś taka piękna - szepnął i znowu zaczął ją całować.

Drżała z pożądania, nie zauważyła nawet, kiedy pozbył się ubrania. Złączyli się w miłosnym uścisku, w komunii ciał i dusz.

Kiedy skończyli się kochać, wiedzieli, że ten akt odmienił ich oboje na zawsze.

Jack obudził się, gdy zegar wybił dziewiątą. Nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy jak tego ranka. Otworzył oczy. Francesca zniknęła. Nic dziwnego, skoro była już dziewiąta. Przecież nie mogła leżeć obok niego na sofie i czekać, żeby obejrzała ich cała rodzina. Z kuchni dochodziły odgłosy porannej krzątaniny. Jack podniósł się szybko, podszedł do okna, odsunął kotarę i spojrzał na szare niebo.

Francesca poprzedniego wieczoru zostawiła w bawialni miskę i dzban z wodą. Umył się, a właściwie zmył z twarzy resztki snu, ubrał. Złożył koce służące mu... im obojgu za posłanie. Na jednym pledzie zobaczył plamę krwi.

Będzie musiał powiedzieć Francesce, żeby sama go wyprała. Rozejrzał się jeszcze, czy nie zostawili żadnych innych śladów wspólnej nocy.

Nie, wszystko było jak przedtem, tylko oni się zmienili.

Zapiął kamizelkę, przeczesał włosy palcami i ruszył do kuchni. Musiał omówić kilka rzeczy z Francescą przed powrotem do Flete. Zapukał delikatnie i otworzył drzwi kuchenne. Przy stole siedziała rodzina Lindenów w komplecie. Tylko Francesca krzątała się jeszcze, nalewała kawę do filiżanek.

- Wreszcie się obudziłeś - zaświergotała Sophy. - Myśleliśmy już, że nigdy nie wstaniesz. Masz szczęście, że Francesca zostawiła dla ciebie śniadanie, ale owsianka na pewno wystygła, zgęstniała i musi być obrzydliwa.

Jack uśmiechnął się i zamknął drzwi.

Śnieg stajał na tyle, że Jack mógł zaraz po śniadaniu ruszyć w drogę powrotną. Francesca zegnała go na ganku i patrzyła za nim, dopóki dwukółka nie zniknęła jej z oczu. Nie mieli wiele czasu dla siebie, ale widziała miłość w jego oczach, kiedy się żegnali.

- Przyjadę na Trzech Króli, może nawet wcześniej.

Smutno było się rozstawać, kiedy serce kocha, lecz jakże cudnie będzie się witać po rozstaniu.

Starła się ukrywać radość, udawała, że wszystko jest jak dawniej, tymczasem nic już nie było jak dawniej. W głowie wirowało, chodziła podniecona, żyła w uniesieniu. Dzień wydawał się piękny jak nigdy, powietrze rześkie niebywale. Miłość, ślub, długie i szczęśliwe życie. Francesca hołubiła tę słodką wizję w sercu, nadzieja dodawała jej ruchom sprężystości.

Dni mijały na zwykłej krzątaniu. Francesca wstawała, zanim niebo się rozjaśniło, rozpalala ogień na palenisku w kuchni, na kominku w bawialni. Nie wzdragała się przed żadnymi obowiązkami. Szorowała podłogi, gotowała bieliznę, prała i reperowała ubrania. Każdego ranka budziła się z nadzieją, że może wreszcie pojawi się Jack, ale on nie wracał. Ani tego dnia, ani następnego, ani jeszcze następnego. Z każdym dniem radość w niej przygasała. Mówiła sobie, że musi być silna. Tak dotrwała do Trzech Króli. Upiekła ciasto świąteczne z resztek mąki, wbiła w zaczyn ostatnie jajka, dodała suszone owoce, trochę sherry, udekorowała je najpiękniej, jak potrafiła. I czekała na przyjazd Jacka. Na kominku buzował ogień. Cały dzień nasłuchiwała, czy powóz nie zaturkocze na drodze, nie zastukają podkowy. Zapadł mrok, a Jack się nie pojawił.

Nie mogła usnąć tej nocy. Przez głowę przemykały różne wyjaśnienia. Może Jack został aresztowany za zabójstwo Grosely'ego? Może zabił go ojciec Edmunda? A może Grosely przeżył? Doszła w swoich przypuszczeniach do absurdu. Przy wypalonej chacie zostawili trupa, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Mówiła sobie, że niepotrzebnie się zamartwia. Jack po prostu się spóźnia, przyjedzie jutro.

Tak się pocieszała, uspokajała samą siebie, ale gdzieś w głębi duszy czaiło się podejrzenie, że Jack nie wróci.

Następnego dnia posłaniec doręczył list i we Francesce na nowo obudziła się nadzieja. Anna spojrzała na adres.

- Do ciebie, mammo.

Francesca musiała przełknąć kolejne rozczarowanie.

Cała rodzina zebrała się wokół matki. Pani Linden złamała pieczęć i rozłożyła kartkę. Podeszła do okna, by lepiej widzieć. Przeczytała list raz, drugi, po czym usiadła i zwiesiła głowę.

- Mammo? - Francesca zapomniała o własnym zawodzie. - Co się stało? Złe wiadomości?

Pokręciła głową, otarła łzę, co spłynęła po policzku.

- Mammo? - Sophy wpatrywała się w nią szeroko rozwartymi oczami.

Pani Linden wyjęła chusteczkę, otarła oczy i już całkiem spokojna zwróciła się do swoich dzieci:

- To dobra wiadomość, niemniej nadzwyczaj zaskakująca. Po tak długim czasie odezwał się brat waszego ojca, George.

- Lord Sarum?

- Tak. - Pani Linden starannie złożyła list. - Jakimś sposobem dowiedział się dopiero niedawno, gdzie mieszkamy. Prosi, żebyśmy zapomnieli o dawnych nieporozumieniach i zaprasza nas do siebie, do Salisbury, na cały miesiąc, w marcu.

- Papa był z nim poróżniony, tak?

- Papa poróżnił się ze starym hrabią, waszym dziadkiem. Między braćmi nigdy nie było waśni, ale że George był dziedzicem tytułu, najstarszym synem, musiał stosować się do woli dziadka. A wasz ojciec był zbyt dumny, żeby odwiedzić Salisbury, dopóki dziadek żył.

- A my pojedziemy do Salisbury?

- Myślę, że tak - powiedziała pani Linden z uśmiechem.

Lidia klasnęła w dłonie i odtańczyła z Sophy taniec triumfalny.

- Hurra!

- Jak zdobył nasz adres? Tyle lat nie odzywaliśmy się do siebie... - Francesca przysiadła na oparciu matczynego fotela.

- Od wspólnego znajomego - powiedziała pani Linden.

Francesca przypomniała sobie podróż Jacka do Salisbury. Miała nieodparte wrażenie, że to odnowienie więzi rodzinnych jest jego dziełem.

Pogoda była okropna, wiatry, ulewy, wiecznie zachmurzone niebo. Tydzień po Trzech Królach Francesca i Tom wybrali się na rynek do Salcombe. Matka i siostry zostały w domu. Francesca zbyt długo czekała, zbyt długo się niepokoila, więc teraz zapytała brata z udaną nonszalancją:

- Nie wiesz, co tam słycać u lorda Holbertona?

Tom spojrzal na nią zdziwiony, ale i z podejrzliwością w oku.

- Nie wiem - odpowiedział ostrożnie. - Dlaczego pytasz?

- Przez zwykłą ciekawość. - Przywołała sztuczny uśmiech na usta. - Jakiż inny mogłabym mieć powód?

- Ja bym widział jeden.

Udała, że nie słyszy, nie obejrzała się nawet na Toma w obawie, że brat wyczyta prawdę z jej twarzy. Poprawiła koszyk w dłoni i odgarnęła wymaglinowany kosmyk z czoła.

- Sophy mówi, że masz się ku niemu. To prawda?

- Sophy jest smarkata, nasłuchala się bajek o królewiczach i śpiących królewnach - fuknęła Francesca, choć siostra nie zasłużyła sobie na kąśliwości.

Przez chwilę szli w milczeniu.

- Jeśli uczynił coś, czego nie powinien...

- Nic nie uczynił - nie dała dokończyć mu kwestii. - Czemu podobna myśl przyszła ci do głowy?

- Bo wydawałaś się taka szczęśliwa, kiedy był u nas, a teraz posmutniałaś.

- Rojenia. - Zaśmiała się, lecz był to mocno wymuszony śmiech.
- Może. Wiesz chyba, jaką on ma reputację, prawda?
- Człowiek się czasami zmienia. Na lepsze.
- Nie on - orzekł zwięźle, ona zaś przypomniała sobie opowieść Jacka o

pojedyнку. - To hulaka i nic dobrego, Fran. Uwodzi kobiety, a potem je porzuca. Nie wie, co to honor.

- Tom!
- Chciałem cię tylko ostrzec.

Szła dalej z maską na twarzy. „Uwodzi kobiety i porzuca je”. Słowa Toma dzwoniły jej w uszach. Ją też uwiódł i porzucił. Nie, to niemożliwe. Prosił przecież, żeby została jego żoną. Na pewno wróci. Tamtej nocy, kiedy przyszła do niego, powiedział: „Wiesz, że cię kocham, prawda? Chcę przeżyć życie razem z tobą”. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że wcale nie zaproponował małżeństwa.

Poczuła się okropnie. Kochał ją i zostawił. Minęły dwa tygodnie, a on się nie pojawił. Nie napisał listu, nie skreślił nawet kilku zdań. Nie mogła się dłużej ludzić. Albo została zwiedziona przez najgorszego w świecie hulakę i nicponia, albo stało się coś strasznego. Nie chciała wierzyć w żadne z tych tłumaczeń, gdyby jednak miała wybierać, po stokroć wybrałaby pierwsze.

Miała ochotę szlochać wniebogłosy, uciec, biec przed siebie bez celu, bez przystanku, lecz oto szła jak automat z pustym koszykiem przewieszonym przez rękę i pełną sakiewką w kieszeni. Tom coś mówił, ale nie słyszała słów. Całą swoją energię, całą wolę koncentrowała na tym, żeby być silną i zachować spokój. Trzeba przecież zrobić zakupy, ugotować obiad. Trzeba nadal prowadzić dom, dbać o rodzinę. Nie mogła pozwalać sobie na mroczne myśli i próżne rojenia.

Kupili zapas żywności. W drodze powrotnej złapała ich ulewa. Francesca przemokła do suchej nitki, budka straciła całkiem kształt, mokra peleryna przyłgnęła do ciała, kraj sukni ubłocił się paskudnie. Tom wyglądał niewiele lepiej. Resztkami sił dotarli do domu w kłaskających trzewikach.

Nie zdążyli wejść do sieni, gdy w progu pojawiła się Anna. Jęknęła tylko na ich widok.

- Wejźmy może kuchennymi drzwiami, bo inaczej ubłocimy podłogi - zreflektowała się Francesca.

- Nie, nie. Wchodźcie tędy. Szybko - przynagliła ich siostra.

Francesca była tak zziębnięta i przemoczona, że nie zwróciła uwagi na podniecenie Anny. Przeszli z Tomem do kuchni, gdzie zrzucili mokre okrycia.

- Mamy gościa - oznajmiła siostra.

- Kto to taki? - zapytał Tom, zzuwając buty.

Francesca natomiast znieruchomiała z mokrą peleryną w dłoni.

- Lord Holberton - odparła z uśmiechem Anna.

Zakreśliło jej się w głowie, musiała się oprzeć o krawędź stołu, żeby nie upaść.

- Źle się czujesz? - zaniepokoiła się Anna.

- Nie, wszystko w porządku.

- Idźcie się przebrać. Rozwieszę wasze ubrania, żeby wyschły.

- Dziękuję. - Uścisnęła siostrę i bosą pobiegła na górę, rozebrała się do końca z mokrych łaszków i włożyła prostą szarą suknię z ciepłej wełenki. Wytarła porządnie włosy ręcznikiem, wyszczotkowała i upięła w węzeł na karku. Wciągnęła pończochy, wzięła pantofle, ale zamiast zejść na dół, usiadła na łóżku.

A więc Jack w końcu przyjechał. Nie wiedziała, co myśleć. Czuła się zmęczona długim wyczekiwaniem, najgorszymi myślami, które ją dręczyły przez tyle dni. Trochę się obawiała ponownego spotkania. Miłość jest tak ryzykowna, tak łatwo można zostać zranioną... a jednak niesie z sobą szczęście nie do ogarnięcia.

Dotknęła piersi, gdzie pod ubraniem krył się maleńki srebrny „Swift”. Tyle się wydarzyło od tamtej nocy na kutrze...

W końcu odetchnęła głęboko, podniosła się z łóżka i ruszyła ku drzwiom.

Jack pomyślał, że Francesca zmizerniała od ich ostatniego spotkania. Była taka blada, przygaszona... W jej oczach widział przemęczenie, napięcie. Zmartwił się, że zbyt ciężko pracuje i za mało je.

- Lord Holberton przyjechał z wizytą - oznajmiła pani Linden, jakby to nie było oczywiste. - Lidio, nalej Francesce herbaty. Jeszcze ciepła. - Spojrzała na najstarszą córkę. - Błada dziś jesteś bardzo.

- To przez tę pogodę, mamó. Fran przemokła do suchej nitki i zmarzła - wtrąciła Anna.

- Omal nie zemdlą w kuchni.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Francesce.

- Przesadzasz, Anno. Nic mi nie jest - zapewnił obiekt ogólnego zainteresowania.

Jack podniósł się z fotela przy kominku.

- Usiądź na moim miejscu, Francesco.

- Dziękuję, dobrze mi tak, jak teraz, milordzie. - Nie ruszyła się z krzesła koło drzwi.

- Nalegam. - Podeszedł do niej z wyciągniętą dłonią.

Cała rodzina wpatrywała się w niego z największym zainteresowaniem, ale nie dbał o to.

Ujął Francescę za rękę i podprowadził do fotela przy kominku. Była nadal blada, ale na policzkach pojawiły się wypieki. Kiedy już siedziała, Jack wziął filiżankę od Lidii i podał Francesce. Tak drżała, że filiżanka zaczęła podskakiwać na spodeczku.

Wszyscy się w nią wpatrywali, nikt się nie odezwał słowem. Francesca upiła łyczek.

- Chciałbym zamienić kilka słów z panną Linden w cztery oczy - powiedział Jack i rzucił pani matce wymowne spojrzenie. - To nie potrwa długo.

Tom miał podejrzliwą minę, ale pani matka podniosła się natychmiast z fotela.

- Rusz się, Tom - zakomenderowała. - Anno, zabierz tacę. Przejdziemy do kuchni. - Z podniecenia zaróżowiły się jej policzki.

- Sophy, Lidio... - Wyprowadziła swoje stadko z bawialni, zamykając za sobą starannie drzwi.

Jack słyszał jeszcze stłumione głosy, pytający ton wypowiedzianych słów, panią Linden uciszającą rodzinę, wreszcie skrzypnięcie drzwi kuchennych.

A więc w końcu przyjechał...

Przyklękął, ujął jej dłonie.

- Jestem - oznajmił nie najmądrzej.

- Tak - szepnęła ledwie słyszalnie.

- Francesco...

Spojrzała mu w oczy.

- Gdzie byłeś przez cały ten czas, Jack?

- W Londynie. - Zdziwiony zmarszczył brwi. - Musiałem wyjaśnić sprawę śmierci Grosely'ego. Jego ojciec strasznie się burzył. Opisałem wszystko w liście.

- Nie dostałam żadnego listu.

Spochmurniał. Teraz rozumiał, dlaczego

Francesca jest taka zmęczona i smutna,

- Zatem nie wiedziałaś o mojej podróży. Mój Boże, musiałaś myśleć sobie o mnie najgorsze rzeczy.

- Bałam się, że przytrafiło ci się coś złego.

- Albo że cię porzuciłem?

- Może przeszło mi to przez głowę.

- Powiedziałem ci, że przyrzeczenia składane w Boże Narodzenie to dary.

Takich obietnic należy dotrzymywać.

Spuściła głowę, ale zdążył dojrzeć łzy w jej oczach. Musiała wiele wycierpieć, czekając na niego.

- Jesteś, wróciłeś i tylko to się liczy. - Uśmiechnęła się przez łzy.

- Będąc w Londynie, załatwiłem też inne sprawy. - Sięgnął do kieszeni i wyjął złożony arkusz papieru. - Przeczytaj. - Uniósł brwi. - Postąpiłem trochę samowolnie, przyznaję, kiedy jednak byłem tu ostatnio, nabrałem wiary, że chcesz mnie mieć za męża. Nie mam cierpliwości dawać na zapowiedzi i czekać. Pomyślałem, że licencja ślubna będzie najprostszym rozwiązaniem.

- Och... - Roześmiała się, łzy powoli potoczyły się po policzkach.

- Wyjdiesz za mnie, Francesco?

- Wyjdę za ciebie z największą ochotą, Jacku Holbertonie. - Śmiała się i płakała na przemian.

Objął ją, a ona zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałował ją gorąco, namiętnie i była w tym pocałunku cała miłość świata.

Francesca obudziła się i spojrzała na śpiącego męża. Od ich ślubu minął miesiąc. Zegar w sieni wybił dziesiątą. Przez kotary z grubego aksamitu ledwie sączyło się światło. Przeciągnęła się rozkosznie, nachyliła i pocałowała Jacka w czoło. Wyglądał tak niewinnie, chłopięco, kiedy spał. Jakże mylące wrażenie, zważywszy na to, jakim zatrudnieniom oddawali się przez większą część nocy. Poruszył się, mruknął coś przez sen i objął żonę.

Usłyszała chrzęst drobnych kroków na żwirowym podjeździe, śmiech i piski, a potem dziewczęcy głosik:

- Mamo, powiedz mu, żeby nie ciągnął mnie za warkocze.

Jack jęknął.

- Oby wyjechali wreszcie do Salisbury. - Otworzył oczy, ciekaw reakcji Franceski. - Sarum ciągle jeszcze odnawia stare probostwo. Okropnie zwłóczy. Mogłem sam położyć tapety, byłoby szybciej.

- Jacku Holbertonie! - Poczęstowała męża kuksańcem. - Wiesz doskonale, że stryj George chce urządzić wszystko jak najlepiej na przyjazd mamy.

- Bardzo słusznie. - Zaśmiał się i przyciągnął Francescę bliżej. - Żarty sobie stroję. Dobrze mi z twoją rodziną, mimo że wstają bladym świtem. Pewnie jeszcze ciemno na dworze...

- Już dziesiąta. - Teraz ona się zaśmiała. - Dawno powinniśmy być na nogach.
- Usiadła w pościeli, błysnął srebrny wisiołek wyobrażający „Swifta”.

Jack dotknął go delikatnie.

- Opowieść o tamtej grudniowej nocy będą sobie jeszcze przez lata powtarzać we wszystkich tawernach Devonu.

- Opowieść przemytnika o tym, jak lord Jack Holberton ujął zdrajcę i rozbił bandę Buckleya - dodała Francesca.

- Raczej opowieść o tym, jak dzielna i piękna kobieta zabrała mu serce.

- Jesteś niemożliwy.

- Tak mówią. - Zaczął ją całować.

Dla Franceski magia Bożego Narodzenia miała trwać już zawsze.

